

Cliff Banks

Szczury

tunelowe

2

Błoto i krew

Tunnel Rats; Mud and Blood

Przełożył

Rafał Śmietana



Brzask. W dżungli było nieznośnie parno. Czteroosobowy patrol w szyku bojowym poruszał się cicho po wąskiej ścieżce, którą do tej pory uczęszczała tylko zwierzyna.

Porucznik Scott Gaines, drugi z kolei, otarł rękawem pot z czoła nie rozluźniając ani na chwilę uścisku dłoni spoczywającej na spuście M-16. Jak pozostali żołnierze nie miał z sobą ani grama zbędnego ładunku: prócz broni niósł ze sobą tylko manierkę z wodą, małą latarkę założoną za pas z amunicją i torbę z zapasową amunicją.

Za nim równym krokiem postępował DeLuca, a jako ostatni szedł Hidalgo. Prowadził Bok Van Thu, wietnamski przewodnik oddziału.

Dżungla spowita jeszcze była ponurą, wilgotną poświatą, a promienie słońca ledwie przedzierały się przez gęstwinę gałęzi, pnączy i liści palmowych, balsy, eukaliptusa i mahoni, które starały się jak mogły, zetrzeć ścieżkę z powierzchni ziemi. Zewsząd dochodził ich zapach zgnilizny urozmaicany kakofonią odgłosów ptaków, owadów oraz licznie zamieszkujących tam małp.

Thu przystanął nagle. Nie odwracając się, przyzwał pozostałych gestem ku sobie. Dołączyli do niego w miejscu, gdzie pagórkowaty teren ustępował miejsca małemu skrawkowi równiny, ścieżka rozszerzała się i ginęła w porannej mgle.

Thu wyciągnął dłoń przed siebie.

- Tam - wyszeptał.

Gaines dopiero za kilka sekund zorientował się, o czym mówi Wietnamczyk. Wreszcie dostrzegł niewyraźną sylwetkę żołnierza Wietkongu, odzianą w przypominający pizamę mundur. Siedział oparty plecami o pień drzewa i palił papierosa. Karabin odłożył na bok. W pewnej chwili zamachnął się na dobierającego mu się do skóry moskita. Najwyraźniej nie przyszło mu do głowy, że powinien się mieć na baczności nawet tutaj, w tak niedostępnym zakątku dżungli.

DeLuca i Hidalgo zauważyli go, lecz wzrok ich i lufy karabinów omiały całą okolicę w poszukiwaniu źródeł możliwych kłopotów.

- W porządku, ja się nim zajmę - zdecydował Gaines. - Zostanie jeszcze dwóch.

- Trudno się z tym nie zgodzić - mruknął DeLuca.

- Miło z ich strony - dorzucił Hidalgo.

- Zamknijcie się - ostrzegł Gaines. Trącił Hidalgo łokciem i pokazał mu palcem lewą stronę ścieżki. - Johnny, popatrz tam, czy czegoś nie znajdziesz.

DeLukę wysłał w przeciwnym kierunku.

- Twój człowiek powinien być niedaleko. Thu, pamiętasz, co masz zrobić, jak zauważysz coś podejrzanego? Spotykamy się tu za chwilę. Ruszamy.

Jeden po drugim niknęli sobie z oczu zanurzając się w zieloną gęstwinę dżungli. Thu przykucnął i wyciągnął z pochwy maczetę.

Obejście strażnika zabrało Gainesowi więcej czasu, niż przypuszczał, lecz po paru krokach zauważył pomiędzy dwoma drzewami mocno naciągniętą linkę na wysokości swych łydek. Cofnął się i kolbą karabinu szarpnął linkę. W ułamku sekundy, nie wiadomo skąd, nadleciała kula z wyschłej gliny, która aż jeżyła się od zaostzonych kawałków bambusa, i trafiła w drzewo. Na jej drodze byłaby jego głowa, gdyby nie zauważył linki. Gaines nie wynurzał się spoza linii drzew ostrożnie stawiając krok po kroku i rozglądając się za innymi pułapkami, więcej ich jednak nie znalazł.

O parę kroków za plecami strażnika zatrzymał się, sięgnął do worka z amunicją i wyjął kawałek mocnego drutu, owinał go sobie wokół dłoni dla pewniejszego chwytu i rzucił się na Wietnamczyka. Zaciskając śmiertcionośną pętlę, jednocześnie włókł wierzgającą i desperacko wymachującą rękami posłać w gęstsze zarośla, gdzie miękkie poszycie tłumilo wszelkie odgłosy walki. Gaines rzucił przeciwnika twarzą do ziemi i wbił mu kolano w kręgosłup. Gdy ten przestał dawać oznaki życia, Gaines złamał mu kark, by upewnić się, iż rzeczywiście nie żyje, potem zaś odwinął drut z szyi zabitego, złożył i schował do worka. Zdjął z pleców M-16, chwycił pewnie w obje dłonie i zaczął wracać na miejsce spotkania uważnie stawiając kroki.

Dżungla wydawała się niezmienną, jeżeli nie liczyć nasilających się odgłosów wydawanych przez zwierzęta, które nadchodzący ranek budził do nowego dnia. Z każdą chwilą robiło się coraz cieplej i postronny obserwator nawet nie domyśliłby się, że cały batalion Wietkongu znajduje się nie dalej niż kilka metrów od niego... pod ziemią.

Gaines i jego ludzie stanowili część tajnej misji prowadzonej przez sekcję wywiadu Pierwszego Batalionu Wojsk Inżynieryjnych, należącego do Pierwszej Dywizji Piechoty, znanej też jako Wielka Czerwona Jedyńka. Byli pierwszym z kilku oddziałów objętych wspólną nazwą Szczurów Tunelowych - amerykańską odpowiedzią na zagrożenie ze strony Wietkongu, którego siły wykorzystywały sieć podziemnych tuneli, o całkowitej długości ponad trzystu kilometrów, do działań nękających zgrupowania wojsk amerykańskich w pobliżu Sajgonu. W wilgotnych, ciemnych korytarzach, przystosowanych specjalnie do

rozmiarów Wietnamczyków, czekały na Amerykanów strach i śmierć.

Szczury bardzo szybko zdobyły sobie sławę u obu walczących stron, bo ich wojna nie opierała się na sprawdzonych zagraniach taktycznych, najnowocześniejszym sprzęcie czy sile ognia. Odnajdywali i niszczyli wroga pod ziemią, na jego własnym terenie, gdzie o życiu i śmierci decydowała odwaga, siła i refleks. Ich sława brała się głównie z faktu, że potrafili radzić sobie w najtrudniejszych sytuacjach, w jakie obfitowały ich codzienne obowiązki: czołganie się po wąskich i ciemnych tunelach i niszczenie doskonale uzbrojonych żołnierzy Wietkongu. Gaines wraz z oddziałem mieli na swoim koncie największą liczbę udanych akcji od czasu przejścia przez Amerykanów pierwszych planów tuneli.

Gaines miał dwadzieścia pięć lat i choć niewysoki, był w znakomitej kondycji fizycznej. Doskonale nadawał się na dowódcę. Urodził się i wychował w Butte, w stanie Montana, w rodzinie inżyniera górnictwa. Większość swego wolnego czasu spędzał w opuszczonych szybach górniczych w swej rodzinnej miejscowości. Później przerwał naukę w Szkole Górniczej i pracował razem z ojcem, zdobywając doświadczenie w posługiwaniu się materiałami wybuchowymi.

Po wstąpieniu do wojska skończył Szkołę Oficerską i zanim został jednym ze Szczurów, był prawdziwym weteranem walk w Wietnamie, wielokrotnie odznaczanym za dzielność.

Doszedł do miejsca, gdzie mieli się spotkać. DeLuca, Hidalgo i Thu czekali już na niego.

- Znaleźliście swoich? - zapytał.

- Mój gryzie ziemię - zaczął DeLuca.

- Mój też - dodał Hidalgo.

Pozostali członkowie jego oddziału również doskonale pasowali do swych ról.

Sierżant Frank DeLuca, lat dwadzieścia jeden, czarnowłosy, mocno zbudowany, pochodził z biednej dzielnicy Bostonu, Roxbury, i nim komisja poborowa przysłała mu swe pozdrowienia, był bokserem wagi piórkowej.

Starszy szeregowy Johnny Hidalgo spędzał swe życie w cywilu walcząc o przeżycie na ulicach wschodniego getta Los Angeles. Posturą przypominał trochę sierżanta DeLukę.

Ich obecna misja różniła się znacznie od poprzednich. Znajdowali się na obszarze, na którym po zapadnięciu zmroku niepodzielnie panował Wietkong, bez względu na to, co mówiły oficjalne komunikaty z Sajgonu. Poprzedniego wieczora w okolicy znalazł się batalion piechoty, odbyła się krótka potyczka i Wietnamczycy, jak zwykle, zapadli się pod ziemię.

Tym razem nitką prowadzącą do kłębka okazał się być wietnamski jeńiec, który rozśpiewał się jak kanarek, gdy w obroty wzięli go śledczy. To, co usłyszeli, natychmiast ściągnęło Gainesa wraz z oddziałem do biura kapitana Cartera - szefa sekcji wywiadu S-2, Szczura numer sześć, bowiem szóstka w nomenklaturze dywizji oznaczała dowódcę.

- Jeżeli nasze informacje pokrywają się z prawdą, a są duże szanse, że tak jest - zaczął Carter - to wiemy, gdzie znajduje się centrum dowodzenia Wietkongu na cały rejon. Ogólna ich siła jest oceniana na co najmniej batalion, ale najważniejsze, że oni najprawdopodobniej nie wiedzą o nas nic.. Wszyscy żołnierze z powierzchni wycofali się. Pokazaliśmy więc naszemu jeńcowi dokładną mapę interesującego nas obszaru i okazał się nadzwyczaj skory do współpracy. Wskazał miejsca, gdzie rozlokowani są strażnicy i wejścia do tuneli.

- Chyba, że ma rozwinięte poczucie humoru i pięknie ze śmiechu, kiedy my wleziemy prosto w zasadzkę - zauważył DeLuca.

- Dobrze wie, że w takim przypadku nie będzie miał na to czasu - powiedział z sarkazmem Carter.

- Moi ludzie powiedzieli mi, że to prawda - do rozmowy włączył się Thu. - Rzeczywiście w tych okolicach znajduje się zakonspirowane centrum dowodzenia Wietkongu, lecz kapitan Quang, dowódca batalionu, nie jest zbyt rozmowny. Słyszałem tylko, że regularnie zmieniają swoje miejsce pobytu w tunelach.

Bok Van Thu miał trzydzieści osiem lat. Głębokie zmarszczki na twarzy zdradzały, jak wiele w życiu przeszedł. Znał tunele lepiej niż którykolwiek z Amerykanów. Jako jedyny pozostały przy życiu żołnierz oddziału Wietkongu, który miał nieszczęście natknąć się na patrol amerykańskiej piechoty morskiej, przeszedł na stronę Amerykanów, by ocalić siebie, żonę i troje dzieci przed okropnościami wojny. Znał dobrze miejscowe dialekty, orientował się w taktyce Wietkongu i zasadach budowy tuneli.

W pierwszych dniach istnienia oddziału nie wszyscy mu ufali, szczególnie DeLuca, lecz już dawno wszelkie podejrzenia straciły rację bytu. Niezliczoną ilość razy Thu okazywał się niezawodnym przyjacielem czy bezcennym źródłem informacji, tłumacząc Amerykanom sposób myślenia Wietnamczyków.

- Quang i jego ludzie będą tam jutro przez cały dzień - kontynuował Carter. - Razem z nim około setki ludzi. Wydaje im się, że są bezpieczni, kiedy nasze siły przeczesują dżungłę nad ich głowami i wracają z pustymi rękami. Ale tym razem mamy przewagę - wiemy o nich.

- Nawet jeżeli zaczęliby snuć jakieś podejrzenia, nie będą mieli czasu się przegrupować - powiedział Gaines - jeżeli będziemy działać szybko. Obecność naszych sił na powierzchni w tym rejonie sprawi, że będą się bać wychylić za dnia choć nos.

- Jak powiedziałem - odezwał się Carter - rozkazałem naszym oddziałom trzymać się z dala od tuneli, nie chciałbym niepokoić Quanga i jego ludzi przed czasem. Będziecie mieli wsparcie, jakiego tylko chcecie, a na wszystkich żołnierzy, których wypłoszycie spod ziemi, będzie na powierzchni czekała prawdziwa sieć. Oczywiście jeżeli w ogóle jacyś będą w stanie poruszać się o własnych siłach. Jesteście na to przygotowani, a jak wam się nie uda, na górze też znajdzie się trochę dobrych żołnierzy, gdyby tamci zdecydowali się przebijać.

- To na co czekamy? - spytał Hidalgo z ironicznym uśmiechem, zawsze gotowy.

- Na nic. - Carter zwinął mapę i podał ją Gainesowi. - Rzuć na to okiem w helikopterze. Wylądujecie o parę kroków od głównego wejścia do tunelu, a na miejscu powinniście być bladym świtem.

Co do minuty, pomyślał Gaines, patrząc na polanę i szukając wzrokiem jakichkolwiek śladów działalności wroga. Nic. Cisza i spokój.

Helikoptery nawet nie wylądowały. Gaines ze swymi ludźmi ześlizgnął się w gęstwinę po linach i szedł krok za krokiem wijącą się ścieżką od strony, gdzie strażnicy Quanga najmniej spodziewali się ataku, co miało być ich ostatnią w życiu pomyłką.

- Czysto - szepnął Gaines do swych ludzi. - Teraz uważajcie.

Wyszli zza drzew, jeden daleko od drugiego, i skierowali się do głównego wejścia do tunelu. Ledwo uszli kilka kroków, Thu dał im dłonią znak, by się zatrzymali. Z poważną miną przechylił głowę i nasłuchiwał.

- Słyszałem jakiś szmer - wyszeptał.

Gaines nic nie słyszał, lecz podniósł karabin gotowy do strzału, podobnie jak DeLuca i Hidalgo.

- Jesteś pewien?

Thu ukląkł i przyłożył ucho do ścieżki.

- Kilku ludzi. Idą szybko - powiedział. - Chyba patrol. Nie Amerykanie, bo nie noszą butów. Sandały.

- A mieli siedzieć cicho za dnia - prychnął DeLuca.

- Ktoś im zapomniał o tym powiedzieć - zachichotał Hidalgo, jak zwykle, gdy coś zaczynało się dziać.

- Kryjemy się - rozkazał Gaines. - Kiedy się pokażą, zdejmujemy ich, bo jak znajdą zabitych strażników, podniosą alarm.

Ta akcja nie miała na celu wypłoszenia Wietnamczyków z tuneli, zbyt wielka była bowiem stawka. Mieli uderzyć precyzyjnie, we właściwym czasie i... mieć szczęście.

Nawet Szczury Gainesa nie mogły poradzić sobie z całym batalionem.

Gaines już dawno nauczył się ufać w pełni szóstemu zmysłowi Thu, który znał i rozumiał dżunglę, jak nigdy nie będzie w stanie pojąć jej przybysz z Zachodu.

Gdy schronili się wśród drzew, na ścieżce pojawił się pierwszy żołnierz patrolu, chłopak piętnasto-, może szesnastoletni, przytłoczony ciężarem i rozmiarami AK-47, ubrany w czarną pizamę. Z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy widząc Thu i trzech Amerykanów. Na nic więcej nie starczyło mu czasu.

Gaines stał najbliżej chłopaka, jakieś cztery metry. Szybkim ruchem wyjął nóż z pochwy i rzucił. Ostrze zanurzyło się po sam uchwyt w okolicy serca młodego Wietnamczyka, który złapał je obiema rękami, potem ugięły się pod nim kolana, padł na ziemię i nie ruszał się. Gaines podbiegł kilka kroków, wyciągnął nóż z rany i szybko wrócił do miejsca, w którym ukrył się jego oddział.

Pozostała piątka żołnierzy, ubrana tak samo jak chłopak, wynurzyła się kilka sekund później. Jeden z nich potknął się i o mało nie przewrócił o martwe ciało chłopaka. Wszyscy razem otoczyli go, by się dokładniej przyjrzeć. Postępowali nieostrożnie, gdyż byli blisko bazy, pewną rolę odgrywało tu też zaskoczenie widokiem martwego żołnierza.

- Na nich! - krzyknął Gaines.

Oddział bez zwłoki posłuchał rozkazu.

Pięciu żołnierzy Wietkongu nie miało żadnych szans, nie dane im było nawet zorientować się w powadze sytuacji. Hidalgo, DeLuca i Thu wzięli na siebie po jednym przeciwniku. Ostrza wojskowych noży błysnęły w słońcu, a po chwili rozległo się rżenie konających. Gaines załatwił swojego, potem odwrócił się i zobaczył, że ostatni członek nieszczęsnego patrolu odbiegł o kilka kroków od nich i wymierzył karabin w jego stronę.

Gaines miał właśnie zamiar rzucić weń nożem, lecz zanim do tego doszło, Hidalgo zaatakował Wietnamczyka od tyłu chwytając za gardło i poprawiając kilkakrotnie nożem. Żołnierz osunął się na ziemię nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Gaines i jego oddział działali z precyzją najbardziej niebezpiecznej z maszyn do zabijania.

- Trzeba ich stąd usunąć, żeby ktoś niepowołany na nich nie trafił - powiedział Gaines.

Zapach śmierci zawisł w spokojnym, wilgotnym powietrzu. Żołnierze zawlekli trupy w zarośla o kilka metrów od ścieżki. Nad ciałami zbierały się już roje much przyciągnięte świeżą krwią.

- Teraz może będziemy mogli wreszcie zabrać się za prawdziwą robotę - zażartował DeLuca.

- Pewnie - zgodził się Hidalgo. - Postrzelałbym sobie trochę.

- Ruszamy - rozkazał Gaines. - Tym razem będziecie cicho.

Kompleks tuneli znajdował się o nie całe półtora kilometra od rzeki Thi Tinh, która zmierzała leniwie dnem doliny na zachód. Gleba w tym rejonie była przeważnie gliniasta, wprost wymarzona do budowy podziemnych korytarzy. Korzenie gęsto rosnących drzew wzmacniały konstrukcję nadając jej charakter zbrojonego betonu.

Niedaleko miejsca, gdzie Gaines zabił pierwszego strażnika, zaczęli się uważnie rozglądać za wejściem do tunelu. Thu stał z palcem na spuście karabinu i ubezpieczał ich, znajdowali się bowiem w samym środku polany. Gdyby dowódcy Wietkongu udał się plan, trzech strażnicy natychmiast zauważyliby zbliżających się ludzi i mieliby dosyć czasu, żeby się rozprawić z każdym z nich z osobna. Mądrze pomyślane, Gaines przyznał w duchu rację Quangowi.

DeLuca znalazł wejście. Niezbyt duża kłapa - dwadzieścia na czterdzieści pięć centymetrów - zrobiona była z drzewa i miała kilkanaście otworów wentylacyjnych.

Wystające brzegi uniemożliwiały jej osunięcie się w głąb korytarza.

Usunęli warstwę liści z pokrywy, po czym Hidalgo i DeLuca wycelowali weń karabiny, zaś Gaines schylił się i szarpnął za druciane pętle.

Ich oczom ukazała się dziura głęboka na jakieś pięć metrów. Przy samym dnie lekko zakręcała w jedną stronę tworząc następny korytarz.

- Kto ma ochotę się pobawić? - zapytał DeLuca.

Zgodnie z zasadami walki żaden z żołnierzy nie wchodził sam do tunelu, a będąc już w środku, nie oddalał się od pozostałych na więcej niż pięć metrów.

- My dwaj, sierżancie - zarządził Gaines. - Johnny, dotrzyмай Thu towarzystwa i poopalajcie się. Jakby się zaczęło robić gorąco, wezwijcie helikoptery.

- Dobra - Johnny skinął głową i poprawił radiostację, którą nosił na plecach. Dołączył do Thu sprawdzającego okolicę.

Gaines i DeLuca odłożyli karabiny, zdjęli hełmy przybrane gałęziami do walki w dżungli i rozebrali się do pasa.

Wyposażenie żołnierzy wchodzących do tunelu było zawsze takie samo: latarka, broń krótka, nóż, kawałek kija i drut, które obaj wyjmowali ze swych toreb. Tym razem brali jednak z sobą coś więcej. Ponieważ nie mogli liczyć na pełne wsparcie naziemne, Gaines zaproponował, by zabrali na dół coś mocniejszego, mianowicie karabin M-2, używany w wojskach powietrzno-desantowych, którego kolba składała się tak, że cała broń mierzyła nie więcej niż pół metra długości, wprost idealna do walki w ciasnych korytarzach.

- Idę pierwszy - oznajmił Gaines.

Na twarzy DeLuki odmalowało się rozczarowanie.

- Poruczniku...

- W razie czego podasz mi szybko swoje działo - powiedział Gaines patrząc znacząco na karabin M-2.

Zadaniem Gainesa było założyć w odpowiednich miejscach ładunki wybuchowe.

Gdy byli już gotowi do zejścia, Thu podał Hidalgo linkę, którą miał przytroczoną do pasa i zajął się z powrotem obserwowaniem okolicy, podczas gdy Johnny spuścił do otworu Gainesa z DeLuką.

- Obudź przez radio naszych kolegów i powiedz im, że gra się zaczęła - powiedział na koniec Gaines.

- Tak jest - odparł Hidalgo.

Gdy dotknął stopami dna szybu, natychmiast przykucnął i wszedł w korytarz boczny. Chłód tunelu po parowej łaźni, jaką urządziła im dżungla, przynosił odprężenie - jednak tylko

do chwili, gdy nie pomyślało się o tym, co czeka ich trochę dalej.

Wietkong cieszył się złą sławą z powodu umiejętności konstruowania najbardziej przemyślnych i niebezpiecznych pułapek sporządzanych głównie z myślą o Szczurach, począwszy od prawdziwych szczurów, przenoszących zarazki dżumy, poprzez węże, skorpiony i inne podobnie okropne stworzenia wymyślone przez naturę, skończywszy na granatach i minach, wynalazkach człowieka.

Gaines, po zmianie jasnej poświaty dnia na nieprzeniknioną ciemność tunelu, przez chwilę nic nie widział, postanowił więc przywiązać do kija latarkę i trzymał ją w pewnej odległości od siebie, na wypadek gdyby z drugiej strony tunelu czekał ktoś z karabinem. Wielu z nich zginęło w ten sposób.

Włączył latarkę. Snop światła odsłonił tunel na długości dziesięciu metrów, do najbliższego zakrętu w prawo. Tunel był szeroki na około metr i wysoki na metr dwadzieścia. Wystarczyło. Gaines miał zamiar założyć ładunek w połowie drogi, by wybuch spowodował jak największe szkody w korytarzach poniżej.

Ruszył naprzód. Ziemia zmieszana ze strużkami potu dostawała mu się do oczu zasłaniając widok. Ciało powoli przyzwyczajało się do panującej na dole temperatury, a jego ruchy wytwarzały ciepło, które sprawiało, że tunel nie wydawał się już tak chłodny jak przedtem.

Gaines obawiał się, że za zakrętem tunelu siedzi żołnierz Wietkongu, widzi światło latarki i czeka tylko na sposobność, by go zabić.

Wojna na górze i tu, pod ziemią, mają ze sobą jedną rzecz wspólną, pomyślał Gaines. Nigdy nie wiadomo, gdzie i kiedy zaatakuje wróg. To właśnie sprawiało, że nawet żołnierze z jego doświadczeniem bojowym odczuwali niepokój, którego nie potrafili się w żaden sposób pozbyć.

Usłyszał oddech DeLuki idącego za nim. Gaines doczołgał się do miejsca, w którym zdecydował założyć ładunek, wkopał go lekko w ziemię i delikatnie zaczął rozwijać kłębek z lontem. Wybuch powinien zniszczyć całą konstrukcję.

DeLuca wycofywał się do szybu. Na dany znak, Hidalgo rzucił mu linę. Sierżant chwycił ją i zaczął się wspinać. Mimo swej niezbyt imponującej postury Hidalgo stał sztywno jak filar z marmuru, jedynie napięte mięśnie zdradzały jego wysiłek.

Gaines przykucnął znów na dnie szybu i zapalił lont, po czym złapał linę i pospiesznie opuścił niebezpieczne miejsce. Na powierzchni oślepił go blask słońca, podobnie jak chwilę wcześniej jego brak w tunelu.

Hidalgo oddał Thu zwiniętą linę, który natychmiast przypiął ją do pasa z amunicją, zaś

Gaines i DeLuca szybko się ubrali. Hidalgo rozglądał się niespiesznie dookoła, z lufą karabinu uniesioną ku górze.

- Drzemy zelówy - zarządził Gaines.

- A ja nawet nie jadłem śniadania - poskarżył się Hidalgo.

- Tobie tylko jedno w głowie - skarcił go DeLuca.

Oddalili się od wejścia automatycznie przyjmując szyk bojowy.

Nagle Thu podniósł dłoń, odwrócił się do Gainesa i zaczął mówić z powagą, lecz zanim zdążył wypowiedzieć choć słowo, spomiędzy drzew rozległ się przytłumiony wybuch, dźwięk, który Gaines rozpoznał natychmiast.

Ogień mózdzierzy!

- Padnij! - krzyknął.

Rzucił się na ziemię kątem oka widząc, jak inni robią to samo. Ułamek sekundy później potężna eksplozja wstrząsnęła ziemią, wysyłając w powietrze fontanny gliny i odłamków.

Od strony dżungli rozległ się znajomy klekot karabinów AK-47 nakładając się na świst nisko przelatujących pocisków.

- Do diabła! - zaklął Bok Van Thu.

Ngai Quang, kapitan Ludowej Armii Socjalistycznej Republiki Wietnamu, dowódca Siódmego Batalionu Wietkongu, objął i przytulił swe jedyne pozostałe przy życiu dziecko - syna Tsinga. Wezbrała w nim fala wspomnień, więc odsunął się od syna próbując zabić ojcowskie uczucie choć na chwilę. Jego żona, córka i najmłodszy syn zginęli parę lat wcześniej pod amerykańskimi bombami, na samym początku wojny.

Jedynym uczuciem, na które sobie pozwalał, była głęboka nienawiść do Amerykanów, którzy pozbawili go nieomal wszystkiego. Wszystkiego, z wyjątkiem starszego syna. Kiedy był razem z nim, czuł dojmujący ból, lecz powtarzał sobie, że to dobrze, że znaczy to, że jest jeszcze człowiekiem. Tsing przypominał mu jego własne młode lata - jego ciemne oczy wyrażały gniew i oburzenie z powodu tego, że jakiemś obcemu mocarstwu wydawało się, że ma prawo kolonizować jego ojczyznę.

Quang przyjmował właśnie od dowódców oddziałów raporty o nocnych ruchach i działaniach wroga, gdy Tsing, idący samotnie, dotarł do tunelu. Zjadł szybko miskę ryżu, popił mocną herbatą i czekał na wolną chwilę ojca.

- Spotkałeś po drodze porucznika Phama? - zapytał Quang syna.

- Nie. Czy coś się stało?

Quang przytaknął.

- Zeszłej nocy mieliśmy potyczkę z Amerykanami i ponieśliśmy ciężkie straty.

Porucznik Pham jest na razie uważany za zaginionego.

- Myślisz ojcze, że dostał się w ręce Amerykanów?

- Mam nadzieję, że nie, ale wszystko przemawia właśnie za tym.

- Martwię się o niego.

- Ja też, synu. Życie w tunelu zaczynało mu się dawać we znaki, a kiedyś był takim dzielnym żołnierzem. Teraz widzę, że już dawno powinien być zostać przeniesiony.

- Może sam odszedł, bo coś mu się pomieszało? - zastanawiał się Tsing.

- Jeżeli dostał się w ręce Amerykanów - pokiwał smętnie głową Quang - zacznij mówić. Wysłałem dodatkowe patrole.

- W dzień? Przecież Amerykanie są praktycznie tuż nad naszymi głowami! Ojcze, czy nie ryzykujemy zbyt wiele? Mogą nas tutaj znaleźć.

- Teraz nie ma to znaczenia - wyjaśnił Quang. - Wydałem już rozkazy przygotowania do opuszczenia tuneli tuż po zachodzie słońca. Możesz być spokojny, nie lekceważę Amerykanów.

- Wszystko więc jest w rękach Phama - zakończył Tsing.

Usiedli na pustych skrzynkach po amunicji w wysokiej sali konferencyjnej, oświetlonej żarówkami małej mocy.

Prądu dostarczał generator poruszany silnikiem motocyklowym Hondy umieszczony na najniższym poziomie korytarzy, by jego hałas nie wydostawał się na zewnątrz.

Ngai Quang, jego syn, Pham i wielu innych mieszkało w tunelach od pięciu miesięcy. Kompleks korytarzy, który właśnie zajmowali, był pomyślany jako kryjówka i miejsce zgrupowania partyzantów Viet Minh, którzy walczyli z Francuzami w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Rozbudowana sieć korytarzy mieściła jeszcze jedną salę konferencyjną, sypialnie, szpital polowy, magazyny, kuchnię, schron przeciwlotniczy, latrynę i łaźnię. Byli samowystarczalni dzięki zapasom ryżu od okolicznych rolników, których członkowie rodzin walczyli pod jego dowództwem. Kucharze gotowali nocą. Rozrzedzony szeregiem kanałów powietrznych dym z paleniska był prawie niewidoczny na powierzchni.

Życie w tunelach nie było bynajmniej luksusowe, wielu ludzi, nie tylko Pham, nie wytrzymało ciągłego napięcia. Na przykład sypialnia Quanga była dziurą o wymiarach siedemdziesiąt na osiemdziesiąt na sto centymetrów, a im głębiej było się rozlokowanym w tunelu, tym większe istniało ryzyko bycia żywcem pogrzebanym. Quang wiedział, że tego rodzaju napięcie mogło zszarpać nerwy nawet najwytrwalszym.

Przypomniał sobie, że trzeba jeszcze było przerzucić artylerię. W magazynach, głęboko w tunelu, batalion trzymał kilka haubic kalibru 105 mm, rozebranych na części i naoliwionych, gotowych do szybkiego montażu i akcji. Quang zanotował sobie to w pamięci i wrócił myślami do syna.

- Mówiłem ci, żebyś nie ryzykował, nim wszystko nie będzie gotowe - powiedział.

- Wszystko jest już prawie gotowe - odparł Tsing. - Tunel pod bazą amerykańską w Lai Khe jest na ukończeniu.

Twarz Tsinga rozjaśniła się, lecz serce Quanga przeszył ból. Tsing miał oczy swej matki.

- Powiem moim ludziom w batalionie, żeby byli gotowi - rzekł Quang. - Spisaliście się na medal.

Tsing uśmiechnął się słysząc pochwałę ojca.

- Dziękuję. Za dwadzieścia cztery godziny będziemy w środku bazy.

Quang miał właśnie zamiar coś powiedzieć, gdy doszedł ich uszu głuchy dźwięk z powierzchni. Chwilę później jeden z żołnierzy wbiegł do środka szybem wejściowym.

- Kłopoty, panie kapitanie. Na górze walczą!

- Do broni! - krzyknął Quang skacząc na równe nogi.

- Wygląda na to, że złapali Phama - powiedział Tsing. - Co teraz zrobimy? - pytanie zadane było cicho, lecz z wyraźnym napięciem.

Quang był dumny z tego, że jego syn nie stracił głowy w niebezpieczeństwie, lecz nie było czasu mówić mu o tym.

- Uciekamy i walczymy do końca - oznajmił tym samym spokojnym głosem, zbierając się do wyjścia. - Nie ma czasu do stracenia, jeżeli chcemy ujść z życiem.

Gaines ustalił, że ogień, który przydusił ich do ziemi pośród wysokiej trawy, dochodzi do nich z dwóch różnych kierunków. Zorientował się, że Quang najpewniej zerwał z dotychczasową praktyką Wietkongu i wysłał więcej niż jeden dzienny patrol na rozpoznanie okolicy.

Tymczasem pod ziemią lont palił się skracając z każdą sekundą odległość od ładunku...

Ogień spomiędzy drzew nie malał ani na chwilę. Kule przebijały szerokie źdźbła trawy i gwizdały już całkiem blisko Szczurów, kiedy żołnierze Wietkongu zaczęli celniej mierzyć. Niedługo zaczną trafiać, pomyślał Gaines, i przyjdzie koniec.

- Wezwij helikoptery - powiedział spokojnie do Hidalgo.

- Tak jest - ucieszył się Johnny i rzucił kilka urywanych zdań do mikrofonu: - Wielki Brat, zgłasza się Szczur. Jesteśmy pod ostrzałem, musimy stąd spieprzać. Lądowanie pod ogniem nieprzyjaciela. Dawajcie maszyny!

- Startujemy, Szczur, zrozumiałem - zacharczało w odpowiedzi w słuchawce.

DeLuca wypluł serię ze swego karabinu.

- Ile do wybuchu, poruczniku? - warknął.

- Lada chwila - uspokoił go Gaines. - Zejdźmy trochę na bok, żebyśmy mieli przynajmniej jakąś osłonę, kiedy po nas przylecą.

Patrol Wietkongu rozkazem swego dowódcy podzielił się na dwie drużyny oddalone od siebie o jakieś pięćset metrów, odgadł Gaines z kąta nadlatujących pocisków. Chyba po trzy kałasznikowy z każdej strony.

Ruszyli skuleni przed siebie strzelając długimi seriami - Hidalgo i Thu w jedną stronę, zaś Gaines i DeLuca w drugą. Ogień wroga zamilkł, ale w żaden sposób nie można się było zorientować, czy któryś z Wietnamczyków został trafiony. Zielona ściana dżungli przesłaniała wszystko.

Ledwo dotarli do pierwszej linii drzew, ładunek założony przez Gainesa w tunelu wybuchł. Siła eksplozji wyrwała potężny kawał ziemi napelniając powietrze odłamkami skał i tumanami kurzu, uniosła czterech żołnierzy w górę i rzuciła w dżunglę.

Po chwili doszli do siebie i znów otworzyli ogień w tych samych kierunkach co

przedtem, wśród padających gęsto kawałków ziemi.

Teren zajmowany przez kompleks tuneli zaczął się powoli obniżać, tworząc jakby gigantyczny krater. Gaines mógł stwierdzić, że ładunek wykonał swoją robotę. Ostatnie echa eksplozji zagłuszył rytmiczny warkot dwóch nadlatujących spieszenie helikopterów.

AK-47 wznowiły ostrzał od strony Thu i Hidalgo, którzy natychmiast odpowiedzieli gęstym ogniem. Pociski szarpały liście palm i łuszczyły korę z drzew.

Karabiny wroga znowu zamilkły.

Śmigłowce okrążyły polanę. Przez odsuwane boczne drzwi widać było, jak kanonierzy zajmują miejsca przy cekaemach zamontowanych wewnątrz śmigłowców. Lufy ich przypominały czułki z zastanowieniem wachające powietrze.

- Ciekawe, czy tamci jeszcze żyją - zastanawiał się na głos DeLuca widząc, że na pozycjach wroga zaległa zupełna cisza.

- Ostrzą sobie zęby na nas i na helikoptery - stwierdził Hidalgo.

Jeden ze śmigłowców zaczął powoli schodzić do lądowania, kilkaset metrów od linii drzew, mniej więcej w środku polany. Drugi nadal krążył, osłaniając pierwszą maszynę.

- Nie mamy wyboru - powiedział Gaines. - Trzeba ich wybadać.

Wybiegł pędem zza drzew, a w ślad za nim ruszyła reszta oddziału, naprzeciw silnym podmuchom powietrza wzniesionym przez łopaty helikoptera, który w tym czasie zdążył wylądować i kołysał się lekko jak wielka, metalowa wałka.

Gdy byli w połowie drogi do helikoptera, Gaines usłyszał znajomy, szcęk moździerza od tyłu. Jak na dany znak karabiny Wietnamczyków ukrytych w dżungli zaklekotały znowu.

W ułamek sekundy później wszystko osnuł dym i odłamki. Pocisk trafił wprost w czekający helikopter. Druga eksplozja wysłała we wszystkie strony ostre jak brzytwy kawałki metalu - wszystko co pozostało z maszyny, lecz Gaines ze swoimi leżał już wtulony w ziemię. Gdy bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło, odpowiedzieli ogniem ze swych M-16.

- Udawali! - krzyknął Hidalgo ponad klekotem karabinu, który wstrząsał całą jego sylwetką w rytm gwałtownych wystrzałów.

- Zrobimy tak, żeby teraz nie udawali! - odpowiedział mu DeLuca.

Drugi helikopter krążył tuż ponad wierzchołkami drzew zasypując ogniem pozycje nieprzyjaciela. Ogień Wietnamczyków ponownie zamilkł, gdy ciężkie pociski pokładowego działka ścierały na miazgę otaczającą roślinność. Po chwili zawrócił lądując w pobliżu pierwszej maszyny, nad której zdeformowanym wrakiem ciągnął się pióropusz gęstego dymu.

Gaines ze swymi ludźmi pognał co sił w nogach do otwartych drzwi śmigłowca. W ślad za nimi powędrowały nowe serie AK-47.

- Niech to szlag trafi! - DeLuca warknął nie zwalniając kroku. - Jeszcze im mało.

- Nam też! - odparł Gaines.

Dobiegli do helikoptera i wskoczyli na pokład głucho od szczęku pokładowego działa.

- Dawaj go! Do góry! - krzyczał wstrząsany potężnym odrzutem działka kanonier do pilota.

Jak tylko Szczury znalazły się na pokładzie, pilot na pełnej mocy oderwał helikopter od ziemi.

Nagle ciało kanoniera poderwało się w dziwny sposób i Gaines zorientował się, że dostał serię z dołu. Zakołysał się niepewnie na nogach, po czym wypadł przez otwarty luk. Usłyszał przekleństwa z ust Hidalgo i DeLuki, rzucił się naprzód chwytając działko za spust i rozglądając się za celem. Z boku dostrzegł nienaturalnie rozciągnięte i przełamane ciało kanoniera, a po chwili żołnierzy Wietkongu, którzy wyszli z ukrycia strzelając do helikoptera.

- Jeszcze jeden nawrót! - krzyknął Gaines do pilota.

- Bardzo proszę! - odkrzyknął pilot.

Żołnierze wietnamscy byli zaskoczeni powrotem śmigłowca, przecież strzelali w jego kierunku raczej na pokaz niż mając nadzieję uczynienia jakiegokolwiek szkody. Odwrócili się w mgnieniu oka i ruszyli w dżungłę.

Nie zdążyli.

Helikopter przeleciał nad nimi, podczas gdy Gaines z wściekłością prowadził ogień, napełniając powietrze łuskami z mosiądzu, w miarę jak działko zjadało w szaleńczym wprost tempie pas z amunicją.

Gaines dostrzegł ciała żołnierzy na ziemi przed samą linią drzew, prawie podarte na strzępy pociskami dużego kalibru. Zdjął palec ze spustu.

- Schodzimy na dół! - zawołał do pilota.

- Cholera, może już wystarczy?! - pilot nie był zachwycony. - Trafiłeś ich, ale na dole wcale nie jest bezpiecznie.

- Ci tutaj mają dosyć - odparł Gaines. - Schodzimy po ciało, a potem prosto do bazy.

- Jesteś Gaines? - spytał pilot.

- Zgadza się.

- W porządku, poruczniku. Wy tu rządzą, poza tym to był dobry kolega.

Pilot wylądował obok ciała kanoniera. Gaines i DeLuca wyskoczyli z maszyny i podbiegli w jego stronę, pierwszy wziął go pod ramiona, a drugi za nogi.

- W tej wojnie jest już dość zaginionych w akcji - zauważył z powagą DeLuca.

Ruszyli z powrotem do śmigłowca. Hidalgo stojący na pozycji kanoniera, i Thu oparty o drzwi, patrzyli niespokojnie na dżunglę.

Gaines obawiał się, że lada chwila usłyszy klekot AK-47, lecz nic takiego się nie wydarzyło. Obaj z DeLuca weszli na pokład helikoptera wciągając ciało kanoniera.

- W porządku, zmykamy - powiedział Gaines.

- Już nas tu nie ma! - odkrzyknął pilot przez ramię.

Z wysokości dżungla wyglądała jak bezkresny, gładki, zielony dywan.

Ngai Quang powoli piął się w górę szybu wejściowego. Wykop zrobiony był pod takim kątem, że gorące, czerwone słońce biło prosto w oczy, oślepiając go. Przez kilka sekund nie słyszał nic prócz swego ciężkiego oddechu wywołanego przez potworny wysiłek ucieczki - byle dalej od korytarzy, w których czaiła się śmierć. Potężna eksplozja zniszczyła wszystkie tunele na przestrzeni kilkuset metrów. Poczul, jak serce podchodzi mu do gardła.

W tej samej chwili usłyszał nad sobą drwiący śmiech. Amerykański żołnierz wycelował weń lufę swego karabinu.

- Niech mnie rzuci, jak to nie jest jeszcze jeden żółtek. Chodź tu i stań grzecznie obok swoich kolegów. I nie próbuj żadnych sztuczek, bo rozwalę ci łeb na kawałki.

Quang znów podjął wspinaczkę. Chciał bardzo, by serce przestało mu walić w piersi jak młotem, chciał wyrzucić z pamięci obraz śmierci swojego syna. Tsing zginął w tunelu kilka chwil po ostrzeżeniu o walce na powierzchni. Wybuch dosięgnął ich, gdy znaleźli się w sali konferencyjnej z dowódcami pododdziałów, którzy mieli otrzymać odeń rozkazy. Ziemia stłumiła nieco siłę eksplozji, lecz mimo to wstrząs był tak silny, że komora zawaliła się i znikła na jego oczach. Quang natychmiast pobiegł w stronę szybu awaryjnego, o którego istnieniu wiedział on, jego syn i dowódcy pododdziałów. Szaleńczo wspinał się w górę gnany strachem, że lada chwila wszystko się zawali. Znów przemknął mu przez myśl obraz śmierci najbliższych - żony i dzieci, jak wyciągał ich ciała spod ruin, ciała tych, którzy nadawali sens jego życiu. Ostatni obraz to Tsing, przywalony ziemią, razem ze wszystkimi. Nic już nie zostało, nic...

Dotarł na powierzchnię, - podciągnął się i stanął.

Amerykanie mieli zamiar zniszczyć cały kompleks tuneli, pomyślał Quang. Im nigdy nie dość krwi. Udało im się. Tsing nie żyje. Nie! Nie mogę poddać się rozpacz! Za wszelką cenę muszę zachować przytomność umysłu!

Wróg rozstawił swoje oddziały przy wyjściach z tunelu, na wypadek gdyby komuś z nich udało się ujść z życiem.

Porucznik Pham powiedział Amerykanom wszystko o tunelach...

Quang zmrużył oczy przed ostrym światłem słońca. Zobaczył Amerykanina, wysokiego, czarnego mężczyznę ponaglającego go karabinem.

- Ręce do góry, żółtku. Mówię, ręce do góry albo jedziesz do parku sztywnych.

Z tyłu stało jeszcze trzech żołnierzy, trzymających na muszce pięciu ludzi kapitana Quanga. Stali posłusznie, z rękami podniesionymi do góry, pokryci od stóp do głów błotem tuneli. Quang podniósł ręce do góry. Na zewnątrz był spokojny, lecz w środku napięty, gotowy do akcji.

Amerykanin wskazał mu miejsce obok jego ludzi.

- Tutaj, kochasiu i rączki do góry, do samego nieba. Są tam jeszcze jacyś?

Quang ruszył wolno w kierunku swoich udając rezygnację. Czekał tylko na jakąś nieostrożność, jakieś potknięcie Amerykanów.

Żołnierz trzymał go na muszce, lecz na moment odwrócił wzrok w stronę wyjścia z tunelu. W tej samej chwili Quang błyskawicznie wykonał półobrót na wyprostowanej lewej nodze, a prawą trafił z olbrzymią siłą w karabin Amerykanina, wrywając mu go z dłoni.

Na twarzy żołnierza odmalowało się zaskoczenie. Próbował coś krzyknąć do swoich ludzi, lecz wcześniej Quang z wysoko kopnął go obiema nogami w klatkę piersiową. Amerykanin upadł na plecy, bez tchu. Po chwili otrząsnął się i próbował wstać.

Pozostali odwrócili się, by zobaczyć, co się właściwie dzieje, ale wtedy Quang miał już w rękę karabin upuszczony przez Amerykanina. Oparł nogę na jego brzuchu i przydusił do ziemi. Amerykanin nadal nie mógł dojść do siebie. Jęknął z bólu pod naciskiem stopy Quanga, potem spojrzał w górę i natrafił wzrokiem prosto na wylot lufy własnego M-16 wycelowanego między oczy, nie dalej niż dwadzieścia centymetrów.

- O Boże! - powiedział żołnierz, a na twarz wystąpiły mu krople potu.

- Rzucić broń! - krzyknął Quang do pozostałych Amerykanów.

Wystarczyło. Z oczyma wlepionymi w sierżanta, a raczej w karabin wycelowany w jego głowę, rzucili broń.

- Do jasnej cholery, co wy robicie?! - wrzasnął sierżant nie zwracając uwagi na swoje położenie. - Nie...

Było za późno. Ludzie Quanga chwycili karabiny wycelowując je w Amerykanów.

- Zastrzelić ich! - krzyknął Quang do swoich po wietnamsku.

Gdy Amerykanie zdali sobie sprawę, że nie zostaną wzięci do niewoli, rzucili się w kierunku Wietnamczyków, lecz celne serie z M-16 nie dały im szans.

Quang spojrzał tymczasem prosto w twarz czarnego żołnierza. Pomyślał o Tsingu i

setkach innych, pogrzebanych żywcem pod ziemią, o żonie, córce, o młodszym synu. Żadne z nich nie żyło, został sam, by pomścić ich śmierć. Ogarnęła go fala nienawiści.

Amerikanin zorientował się, co go czeka. Jeszcze sekunda, a rzuciłby się na Quanga, próbując go rozbroić, lecz Quang, widząc napinające się mięśnie żołnierza, nie dał mu tej szansy. Nacisnął spust i opróżnił cały magazynek karabinu zamieniając żołnierza od pasa w górę w plamę poszarpanego ciała i strumieni krwi.

Quang przykucnął, odpiął pas z amunicją i podszedł do swoich ludzi, którzy już wcześniej zrobili to samo, nie zapominając o portfelach.

W powietrzu zaległ ciężki odór spalonego prochu i krwi.

- Musimy stąd zniknąć - zaczął Quang. W uszach ciągle dzwoniły mu echa wystrzałów. - Otaczają nas amerykańskie wojska.

Jeden z Wietnamczyków odwrócił się w kierunku wyjścia z tunelu.

- A inni, kapitanie?

- Nie ma żadnych innych - odparł Quang. - Tylko my przeżyliśmy. Musimy dołączyć do jakiegoś innego oddziału, ale przede wszystkim nie wolno nam dać się złapać Amerykanom. Idziemy do dżungli, szybko i jak najciszej potraficie.

Porucznik Ngu Pham zupełnie stracił poczucie czasu, od chwili gdy Amerykanie wzięli go do niewoli. Pamiętał tylko, że nad ranem wrzucono go do celi w wiosce Quonset, zamknięto i pozostawiono jakby własnemu losowi.

Zapadł w niespokojny sen na wysłużonej pryczy, i po raz pierwszy od bardzo dawna przyśnili mu się rodzice. Od paru miesięcy nie miał żadnej wiadomości o ich losach, lecz miał nadzieję, że żyją i są bezpieczni, podobnie jak siostra i jej mąż. Bardzo za nimi tęsknił, zresztą już pod koniec swej bytności w tunelach trudno mu było bez nich wytrzymać.

Obudził go trzask odsuwanych drzwi. Od nowa poczuł ból w różnych miejscach ciała, bowiem Amerykanie, którzy wzięli go do niewoli, obeszli się z nim niezbyt delikatnie.

Zauważyli go i obezwładnili, zanim miał czas pomyśleć o obronie czy ucieczce. Po drodze do bazy w Lai Khe nie szczędzili mu kopniaków i poszturchiwań.

Lecz Pham nie miał im tego za złe, wiedział, co czują. On też dosyć naoglądał się ciał zabitych kolegów, słyszał krzyki rannych, dla których zabrakło środków przeciwbólowych. Był już zmęczony wojną i ustawicznym zabijaniem, po prostu miał wszystkiego serdecznie dosyć.

Pobyty w tunelach zszarpał mu nerwy do tego stopnia, że nie mógł jeść i miał kłopoty ze snem, lecz nie potrafił przemóc się i poprosić kapitana Quanga, by ten wyznaczył kogoś innego na jego miejsce.

Porucznik Pham miał dwadzieścia lat i bardzo zależało mu na opinii innych o sobie. Nie mógł sobie wyobrazić swego powrotu, pełnego pogardy wzroku towarzyszy i najbliższych.

Poprzedniej nocy Pham i jego patrol zostali wysłani na tyły wojsk amerykańskich. Tuż po zapadnięciu zmierzchu opuścili tunel i Pham wprowadził swój oddział w zasadzkę. Wszyscy prócz niego zginęli pod gradem celnych kul snajperów.

Pham rzucił się w bok, by zejść z linii ognia, czując jak jedna z kul trafia go w nogawkę spodni, a druga gorącym podmuchem oparzyła mu czubek ucha. Ale przeżył i zdecydował, że będzie biegł i nie spocznie, zanim nie znajdzie sobie bezpiecznego schronienia, może na jakimś wzgórzu, by móc zebrać myśli i odsapnąć. Właśnie wtedy natknął się na patrol, który schwytał go i przyprowadził w miejsce, gdzie się teraz znajdował.

Bał się. Był niemal pewien, że go zabiją, więc nie musieli go specjalnie przymuszać, by zaczął mówić. Już stał nad krawędzią i wiedział, jak to wygląda. Wystarczyło, że pokazali mu maszynę najeżoną elektrodami i powiedzieli, że potem nigdy już nie będzie taki sam, nie będzie mógł być sam na sam z kobietą.

Więc zaczął mówić.

Przez wietnamskiego tłumacza powiedział im wszystko, co wiedział o podziemnych korytarzach - bazie kapitana Quanga, włącznie z wyjściem zapasowym, czując dojmujący wstyd, bo wiedział, że zdradza swoich.

Amerykane postanowili sprowadzić Szczury. To wystarczyło, pomyślał Pham, by przypieczętować los kapitana Quanga i innych, a odpowiedzialność za ich śmierć spadnie na niego.

Myślał tylko o jednym - o powrocie do domu. Służba w Wietkongu z początku odpowiadała jego chłopięcym wyobrażeniom o wojnie. Pochodził ze wsi, jego rodzina od kilkunastu pokoleń uprawiała ziemię w tym samym miejscu i niezbyt interesowała się polityką. Znalazł nowych przyjaciół, czuł podniecenie pierwszych zasadzek na Amerykanów, którzy wydawali się zupełnie nieprzygotowani do walki w dżungli. Poza tym w szeregach Wietkongu walczyło wiele młodych kobiet, Phamowi nie brakowało więc okazji do poznania ich bliżej.

Po jakimś czasie amerykańska ofensywa położyła kres swobodnym działaniom partyzantki, dziewczyny zniknęły, a nadeszły długie dni spędzane w niewygodnych, ciasnych i przeraźliwie dusznych korytarzach tuneli... To prawda, chciał zdezerterować, ale wśród żołnierzy miał wielu dobrych kolegów, którym wcale źle nie życzył. Niemniej jednak gdy Amerykanie zagrozili mu bólem, o mało nie zemdłał.

Miał dosyć wojny, wiedział, że nie wytrzyma. Czuł się złamany. Nie zdołał uciec i nigdy nie umknie od tego, co zrobił. Jego los był przesądzony - nigdy nie zobaczy już swych rodziców, swego domu.

Ci sami żołnierze, którzy wcześniej zamknęli go w celi, wyprowadzili go teraz na zewnątrz i przez pełną ludzi i sprzętu wojskowego bazę poprowadzili w kierunku bunkra, w którym był wcześniej przesłuchiwany. Przed bunkrem stało na straży dwóch żołnierzy Armii Południowego Wietnamu.

W środku zastał czterech Amerykanów: kapitana w starannie wyprasowanym mundurze i trzech żołnierzy, którzy wyglądali, jakby dopiero co wrócili z pola bitwy. Wokół nich rozchodziła się aura śmierci. Szczury, pomyślał Pham, mimo iż nie rozpoznawał żadnego z nich.

Obok żołnierzy stał też wietnamski oficer.

- Porucznik Pham, jak mi się wydaje - powiedział w ich ojczystym języku. - Zrobiłeś bardzo dobrą rzecz, młody człowieku. Przyszedłeś z pomocą swemu krajowi i jego sojusznikom.

Pham próbował coś powiedzieć, lecz żaden dźwięk nie wydobył mu się z gardła. Odchrząknął.

- A kapitan Quang? - zapytał.

- Prawdopodobnie nie żyje, tak jak większość jego ludzi. Dzięki tobie, młody człowieku. Tak trzeba. Całe podziemne centrum dowodzenia zostało zniszczone przez tych oto ludzi - oficer wskazał na trzech brudnych i rozczochranych mężczyzn, co do których już wcześniej Pham żywił podejrzenia, że należą do osławionych Szczurów.

Pham poczuł, jak ścisną go w dołku.

- Co będzie ze mną? - zapytał, dobrze znając odpowiedź.

- Jesteś zatrzymany do mojej dyspozycji. Jestem major Van Dow. Czeka cię dalsze śledztwo.

Pham próbował nie poddawać się.

- Ale oni przecież mnie zabiją! Wietkong...

- O co chodzi? - zapytał Amerykanin.

Pham znał trochę angielski i zrozumiał sens wypowiedzianych słów.

- Boi się zemsty ze strony Wietkongu - powiedział major Van Dow. - Niech pan się nie martwi, panie kapitanie, będzie pod strażą przez cały czas. Poza tym nam śledztwo pójdzie łatwiej. Porucznik Xong będzie odpowiedzialny za jego bezpieczeństwo. To jeden z moich najlepszych ludzi.

Pham zauważył, że Carter jest bardzo wysoki, szeroki w ramionach, lecz nie otyły. Postanowił przemówić do niego po angielsku.

- Ja zrobić, co wy chcecie. Powiedzieć o tunel. Wy mnie puścić. Ja do domu.

- Wszyscy chcielibyśmy do domu - odparł Carter. - Ale jesteś jeńcem i należysz do majora Dow. Takie są przepisy.

Van Dow szczechnął jakiś rozkaz i dwóch Wietnamczyków wzięło Phama pod rękę. Pham poczuł rozpacz. Już po mnie, pomyślał.

Porucznik Gaines patrzył na wyprowadzanego Wietnamczyka bez specjalnego zainteresowania, był zbyt zmęczony. W tej chwili marzył tylko o tym, by jak najprędzej zrzucić z siebie wybrudzony mundur i wziąć gorący prysznic. Zbyt wielu martwych Amerykanów wracało do domu w trumnach, by przejmował się jakimś Wietnamczykiem.

Wiedział, że Carter, Hidalgo i DeLuca czują to samo.

- I to by było na tyle - odezwał się Carter, przerywając milczenie. Spojrzał na swoich ludzi i dodał;

- Dobra robota, chłopaki.

- Niech pan tylko nie puści farby, że nie policzyliśmy ofiar - wtrącił Hidalgo.

- No - poparł go DeLuca. - Zasypani żywcem. Jak te gryzpiórki chcą sobie liczyć, to niech przyjdą i pogrzebią sobie trochę.

- Ucieszą się, że Quang ze swoim batalionem zwinęli sztandary - zażartował Carter.

- Mam nadzieję, że Quang rzeczywiście zginął - zauważył Gaines. - Przy naszej taktyce bardzo trudno jest dokładnie stwierdzić, kogo się dostało.

Major Van Dow zgodził się.

- Gdyby w jakiś sposób udało mu się uciec, byłoby bardzo źle. Jest bardzo dobrym strategiem i dowódcą. Jeżeli przeżył, podniesie to morale Wietkongu i mamy gotowy kłopot.

- Tak jakby ich nam brakowało - zauważył Carter. - Czas najwyższy, żeby nam się udała jakaś większa operacja, Wy mnie nie zawiedliście - zwrócił się do Szczurów" - Wszystko do tej pory idzie wam jak po maśle. Ale chyba zauważyliście, że daję wam coraz mniej zadań.

- Ja nie narzekam - powiedział Hidalgo. - Mam szansę nadrobić zaległości w czytaniu.

- Pewnie - parsknął DeLuca. - Batman i Kaczor Donald.

- Wracając do tematu - zaczął Gaines - wydaje mi się, że oni mają tu kogoś w środku, kto ostrzega ich za każdym razem, kiedy jesteśmy na tropie następnych korytarzy.

- Czyli szpiega - podsumował Carter.

- Myślicie, że może to mieć jakiś związek z włamaniami do magazynów broni i prowiantu? - zapytał major Van Dow. - W ostatnich tygodniach zaczyna nam znikać w niewytłumaczalny sposób coraz więcej rzeczy.

- Nie można tego wykluczyć - zgodził się Carter. Mam nadzieję, że porucznik Pham będzie w stanie rzucić nieco światła na tę sprawę.

- Zaraz się tym zajmę - zerwał się Van Dow i wyszedł z bunkra.

- A dlaczego ja nie mógłbym się zająć inspekcją pryszniców? - rzucił z rozmarzeniem Gaines.

- Miałem to wam właśnie zaproponować - powiedział Carter marszcząc nos. - Zezwalam na wykonanie czynności służbowych w tym zakresie. Moje szczere gratulacje z powodu udanej akcji. Spisaliście się znakomicie.

Quang i mała grupka jego żołnierzy przypadła do zbocza niedaleko drogi. Wysoko rosnąca po obu stronach trawa dawała im doskonałą osłonę.

Drogą przejechał warcząc i wyrzucając tumany spalin wóz bojowy. Cały obszar, pod którym rozciągały się kiedyś tunele, roił się wprost od amerykańskich żołnierzy, a jednak o ponad półtora kilometra udało im się oddalić od miejsca, gdzie zatrzymał ich patrol. Śmierć żołnierzy wroga miała dla Quanga efekt oczyszczający. Smutek po śmierci Tsinga i rozbiciu batalionu ustąpił przed satysfakcją. Udało im się, mimo iż byli w beznadziejnej sytuacji. Krążące nad głowami helikoptery ani gęste patrole nie były w stanie ich odnaleźć. Teraz, gdy prawie osiągnęli cel wędrówki, usłyszeli nadjeżdżający pojazd i ukryli się.

Quang gestem nakazał żołnierzom pozostać na swoich miejscach jeszcze przez jakiś czas po odjeździe pojazdu, potem zerwał się na równe nogi i przebiegł na drugą stronę. Razem dotarli do kępy drzew balsy, w której ukryta była chata.

Przywitał ich wieśniak z żoną.

- Spodziewaliście się nas? - zapytał Quang.

- Usłyszeliśmy o ataku na wasze tunele - odparł wieśniak - ale nie sądziliśmy, że będzie je tak łatwo zniszczyć, kapitanie Quang. Powiedział nam pan, żeby tu czekać na pana w razie czego, więc jesteśmy.

Quang był pełen podziwu dla szybkości, z jaką przekazywane były wieści pomiędzy niepozornymi osadami, i dla poparcia, jakim działania Wietkongu cieszyły się wśród miejscowej ludności.

- Więc jesteście gotowi?

- Proszę tędy - powiedział wieśniak.

Wprowadził ich do ubogo wyglądającej chaty, odsunął na bok stół z ciosanego drewna, potem spłowiałą matę i otworzył klapę w podłodze.

Poniżej znajdowała się jedna z wielu kryjówek, które Quang przygotował sobie w okolicy na wypadek niebezpieczeństwa. Jej ściany były co prawda z ziemi, lecz na podłodze położono gruby koc.

Quang gestem kazał, by jego ludzie weszli do środka, potem podziękował gospodarzowi i jego żonie:

- Jesteśmy wam bardzo wdzięczni, ale nie będziemy się narzucać zbyt długo, najwyżej do wieczora.

- Nie narzucacie się nam, kapitanie Quang - zaoponowała kobieta. - Jesteśmy dumni mogąc zaofiarować pomoc.

- Czy pana syn, Tsing, też przybędzie? - zapytał mężczyzna.

- Znalście mojego syna?

Wyraz twarzy mężczyzny zmienił się.

- Jestem jednym z rolników, którzy dostarczają ryż żołnierzom pod jego dowództwem, pod Lai Khe. Wasz syn jest dobrym człowiekiem.

- Nie żyje. Zginął pod ziemią, kiedy Amerykanie wysadzili tunele.

- Bardzo panu współczujemy, kapitanie Quang.

- W czym jeszcze moglibyśmy pomóc? - spytał mężczyzna. - Zrobimy wszystko, co będzie trzeba.

- Inni dowódcy w okręgu muszą się dowiedzieć, że żyję - odparł Quang.

- Zajmiemy się tym.

- Praca w tunelach pod bazą musi być kontynuowana. Mój syn, tuż przed śmiercią powiedział mi, że są już na ukończeniu. Osobiście obejmę dowództwo całej operacji.

- Jeszcze dziś pójde to przekazać kopaczom - zobowiązała się kobieta. - Może pan na nas polegać, kapitanie.

- Wiem. I dlatego amerykańscy imperialiści nigdy nas nie zwyciężą, bez względu na to, ilu ich jest, i jakim sprzętem dysponują. Właśnie dzięki ludziom takim jak wy, w końcu będą musieli się wynieść.

- Niech pan tak nie mówi, nie zasługujemy na to. Stracił pan przecież dzisiaj swojego syna dla sprawy, a mówi pan o zwycięstwie.

- Na smutek przyjdzie czas po zwycięstwie - odrzekł Quang. - Teraz myślę tylko o zemście - za swoją rodzinę, za syna, za wszystkich poległych w tunelach, które wysadzili Amerykanie. Wiem, że zdradził nas porucznik Pham. Należy go odszukać i uciszyć.

- Stanie się tak - obiecał mężczyzna.

- Jest jeszcze jedna rzecz, bardzo ważna dla mnie. Tunele, mój syn, moi ludzie... zniszczyły ich Szczury. Nikt inny. Dlatego chcę wiedzieć, kto osobiście dowodził całą operacją, kto jest za to odpowiedzialny. Dajcie znać naszemu człowiekowi w Lai Khe. Nie powinien mieć kłopotów z ustaleniem nazwiska tego człowieka. Dla mnie jest to sprawa honoru - pojedynek na śmierć i życie. Kiedy poznam jego nazwisko, nie spocznę, dopóki nie zginie.

USPL Lai Khe była oddalona o czterdzieści pięć kilometrów na północ od Sajgonu drogą numer 13, przecinającą strome, porośnięte dżunglą pagórki, które ciągnęły się aż do Północnego Wietnamu. Była bazą wypadową amerykańskiej Pierwszej Dywizji Piechoty i Piątej Dywizji Armii Południowego Wietnamu, w samym środku obszaru, który za dnia uważany był powszechnie za bezpieczny, lecz po zachodzie słońca należał do tych, co posiadali więcej odwagi, determinacji i sprytu.

Baza, zajmująca około pół kilometra kwadratowego, otoczona była zwojami stalowej taśmy i drutu kolczastego, udekorowanymi puszkami po piwie. Chodziło o to, by po zapadnięciu zmroku dać patrolom szansę usłyszenia przeciwnika, nim ten zaatakuje.

Pozycje obronne, obwarowane workami z piaskiem, mieściły najróżniejszą broń: karabiny maszynowe, moździerze i broń raketową, wszystko wycelowane w prawie dwustumetrowy pas śmierci wokół bazy, oddzielający ją od dżungli.

Ann Bradley stała obok wejścia do szpitala polowego w Lai Khe ubrana w mundur i kamizelkę ochronną. Podniósłszy wzrok zauważyła, jak z bunkra kapitana Cartera wychodzą Scott Gaines, DeLuca i Hidalgo. Gaines zobaczył ją i powiedział coś do swych kolegów. Ci roześmiali się, najwyraźniej żartując sobie z niego. Nie musiała zgadywać, że chodziło o nią. Po chwili obaj pomachali jej po przyjacielsku dłońmi na powitanie i poszli dalej w kierunku swego namiotu, zaś Gaines skręcił do niej.

W bazie o tej porze było zwykle tłoczno i Gaines z trudnością przeciskał się w jej stronę. W całym obozie nie było ani jednego źdźbła trawy. Opony samochodów i żołnierskie buty obnażyły warstwy czerwonej ziemi, której kurz okrywał wszystko.

W szpitalu nie było wiele do roboty, więc wyszła na zewnątrz zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i, temu nie mogła zaprzeczyć, by zobaczyć Gainesa, bowiem dowiedziała się, że Szczury wróciły z akcji do bazy.

Przerwy nie zdarzały się często. Kiedy helikoptery zaczynały zwozić rannych, pracowało się bez przerwy po dwanaście i piętnaście godzin. Szpital zamieniał się wtedy w pobojowisko, na którym wśród dziesiątek noszy uwijali się lekarze i pielęgniarki, podejmując błyskawicznie decyzje, kogo i w jakiej kolejności operować.

Ci z mniej poważnymi obrażeniami byli wysyłani do załatania do Sajgonu, zaś

poważniejsze przypadki natychmiast przenoszono do odpowiednich sal operacyjnych.

Ann Bradley wprost nie mogła sobie przypomnieć naiwnej, wiejskiej dziewczyny, która poszła do szkoły dla pielęgniarek - siebie, młodszej o czternaście miesięcy. Wydawało się tak dawno, tak daleko...

W szkole pewnego dnia pojawił się ktoś z wojska. Ann była na spotkaniu, usłyszała, że wojsko potrzebuje takich jak ona. Obiecano nie wysyłać nikogo do strefy bezpośredniego zagrożenia.

Po raz pierwszy wyjechała z domu na tak długo. Pochodziła z dobrej rodziny. Kochała rodziców i bardzo starała się oddać w listach klimat tego nieznanego kraju, wszystko to, przez co musiała codziennie przechodzić, lecz nawet gdyby potrafiła to opisać, wiedziała, że nie mogliby sobie tego wyobrazić. Sama, zanim tu przyjechała, nie wyobrażała sobie tego.

Nie słyszała o Wietnamie, nim jej brat nie poszedł na wojnę z piechotą morską, potem zaczęło się w niej powoli budzić przekonanie, że nie robi wszystkiego co w jej mocy, by walczyć z wrogiem ojczyzny. Więc zaciągnęła się od razu.

Oczywiście została okłamana. Co tydzień baza w Lai Khe była atakowana z powietrza przynajmniej raz, zaś codziennie wieczorami wybuchały potyczki na skraju dżungli.

Z każdym dniem, przynoszącym szeregi jęczących z bólu i umierających młodych ludzi, uświadamiała sobie, że następna rakietą wystrzelona na bazę mogła jej samej przynieść śmierć. Życie w bezustannym napięciu łamało nawet osoby, które, jak jej się wydawało, były lepiej przygotowane do znoszenia stresu niż ona.

Radzono sobie na wiele różnych sposobów. Był alkohol, były narkotyki, były imprezy, na których bawiono się na zabój, chcąc jakby do maksimum wycisnąć chwile życia. Czowała się tym wszystkim przygnębiona.

Nie wiedziała dokładnie, co sprawia, że jest w stosunkowo dobrej formie mimo piekła, jakim stało się jej codzienne życie. Pewną rolę odgrywał w tym Gaines, tyle mogła stwierdzić, chociaż jeszcze nie przespali się razem.

Przyglądając mu się, jak idzie sprężystym krokiem, pomyślała, że ma w sobie coś z dzikiej bestii, czujnej lecz zarazem pełnej wdzięku. Może dziś, pomyślała i natychmiast przygryzła wargę, by się nie roześmiać. Mama nie byłaby zadowolona. Dotychczas spała tylko z Philipem Stevenssem, jednym z lekarzy, przystojnym mężczyzną, którego wojna i alkohol powoli zmieniały w ludzki wrak. Po pewnym czasie zorientowała się, że jest z nim nie z powodu uczucia, ale ze strachu przed tym, co się dzieje i co jeszcze może się wydarzyć, więc jakieś dwa miesiące temu zerwali ze sobą. Doktor nadal jej się podobał, lecz nauczyła się już radzić sobie z własnym strachem koncentrując się tylko na chwili bieżącej i uciekając

w pracę.

Właśnie wtedy, miesiąc wcześniej, poznała Gainesa przez kogoś ze wspólnych znajomych. Z miejsca się sobie spodobali i zaprzyjaźnili. Ann odkryła w nim partnera do rozmów na najróżniejsze tematy, i chociaż ich opinie najczęściej różniły się znacznie, szanowali wzajemnie swoje poglądy. Gaines pomógł jej też uświadomić sobie, że rzucając się w wir codziennych zajęć i unikając kontaktów z ludźmi, popełniała ten sam błąd co Stevens. Wydawało się jej, że znalazła w nim swój ideał mężczyzny - człowieka o wystarczająco silnej psychice, by nie poddać się odczłowieczonej atmosferze wojny.

Jedyną rzeczą, która powstrzymywała ją przed zbliżeniem z nim, był staromodny, niemal rycerski sposób, w jaki ją traktował, a poza tym po prostu bała się, że lada chwila może wrócić martwy z pola bitwy lub umrze na jej oczach na stole operacyjnym.

I tak już należysz do niego, pomyślała. Może dzisiaj...

- No, nareszcie ktoś, kto wygląda jak człowiek. Cześć, Ann. Jak tam wojna? - pozdrowił ją.

Kiedy się zbliżył, dostrzegła, że ma wybrudzony mundur, zabłoconą twarz i ręce.

- Nie najgorzej, w każdym razie lepiej niż u ciebie. Wszystko w porządku, Scott?

- Randka z najmiłą z pielęgniarek uleczy wszystkie rany - powiedział z zawadiackim uśmiechem.

- Musimy się spotkać dzisiaj, bo jutro mam dyżur cały dzień w Hoa Phu.

Gainesowi nie udało się wyperswadować jej dodatkowych godzin, które spędzała wraz z Philipem wśród miejscowej ludności niosąc podstawową pomoc medyczną. Ich akcja cieszyła się poparciem władz wojskowych, które zapewniały transport i lekarstwa, traktując ją jako mały, lecz znaczący wkład w zdobywanie serc i umysłów.

- Co słychać u Phila? - spytał Gaines.

- Wszystko po staremu - nie była pewna, co ma powiedzieć. - Jest tak... jak przedtem, kiedy tu byłeś ostatnim razem.

- Nie podoba mi się to - Gaines zmarszczył brwi. - Może powinniśmy kiedyś razem, we trójkę wybrać się do Sajgonu, oderwać go trochę od tego wszystkiego. Trzeba z nim pogadać.

Taki właśnie jest, pomyślała Ann. Zmęczony, sponiewierany po akcji, w której ryzykował życiem, a potrafi zatroszczyć się o drugiego człowieka, zainteresować jego kłopotami.

Nie mogła się powstrzymać i pogłaskała go czule po policzku. Nigdy wcześniej nie okazała mu swych uczuć bardziej otwarcie.

- Co za człowiek! Zgadza się, wieczór z tobą na mieście bardzo mi odpowiada.

Autobus dywizji wyjeżdżał do Sajgonu codziennie o szóstej wieczorem i wracał pół godziny przed północą. Dowództwo zdecydowało tak, by do minimum zmniejszyć przypadki kaca wśród żołnierzy, którym alkohol był niezbędny do życia. Jechał drogą numer 13, powszechnie uważaną za bezpieczną o każdej porze dnia i nocy.

- Jesteśmy umówieni. Spotykamy się przed autobusem punkt szósta - powiedział Gaines.

- Zgoda.

Chciała powiedzieć coś więcej, by zatroszczył się o siebie, lecz przerwał jej narastający huk nadlatujących helikopterów, zmierzających ku lądowiskom szpitala. Sanitariusze biegli już z noszami w stronę maszyn, skąd żołnierze zaczęli wyladowywać ciała rannych lub zabitych, dopiero co ewakuowanych z jakiegoś odległego o parę kilometrów miejsca, gdzie szalała wojna.

- Dziś wieczorem - powtórzył Gaines. - Jak dasz radę się wyrwać.

Skinęła głową i pospieszyła do namiotu operacyjnego.

Ky wiedział, że może rozzłościć Khong Noha, a była to jedna z ostatnich rzeczy, jaką chciał zrobić. Z drugiej jednak strony Khong Noh rozgniewałby się jeszcze bardziej, gdyby na czas nie dostał wiadomości.

Zatrzymał się przed namiotem i odchrząknął.

- Szeffie, jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

- Co? - doszedł go zmęczony głos.

Zza poły namiotu doszedł go niespieszny szelest. I w chwilę później ukazał mu się Khong ubrany tylko w spodnie. Przez szparę Ky dostrzegł młodą kobietę, właściwie kilkunastoletnią dziewczynę, leżącą na brzuchu. Była nieprzytomna, cała pokryta sińcami. Dwa dni temu przyprowadzili ją siłą wraz z jej koleżanką z pobliskiej wsi. Pozostałych mieszkańców wsi zabili, a wieś spalili.

Khong Noh miał dość sporą posturę jak na Wietnamczyka. Miał wielki, obwisły brzuch i pociętą bliznami twarz, z której wзираło niepokonane okrucieństwo. Dokładnie taki typ człowieka mógł przewodzić bandzie ośmiu zabijaków, od ponad trzech lat żyjących z rozboju i gwałtu. Niektórzy z nich byli dezertarami z południowowietnamskiej armii, inni uszli z życiem z sajgońskiego półświatka oszukawszy nie tego człowieka co trzeba, jeszcze inni, jak Ky, byli ofiarami wojny. Wojna przestawiła ich życie, czasami w bardzo okrutny sposób, na zupełnie nowe tory.

Ky był rolnikiem. Jego dom, podobnie jak wszystkie w okolicy, spaliło coś o nazwie napalm, zrzucone pewnego dnia z samolotów, gdy Ky pracował w polu. Żona i troje dzieci byli wtedy w domu. Ky po powrocie znalazł tylko wypalone, poczerniałe szkielety.

Od tego czasu zmienił się zupełnie. Niedługo potem przystał do bandy Khonga. Na początku zabijał ze złości i dziwił się, jak inni członkowie bandy mogli być tak okrutni, ale po pewnym czasie przyzwyczyił się. Zabijał dla przyjemności, zastanawiając się, kiedy przyjdzie jego kolej.

- Właśnie usłyszałem, że amerykański konwój będzie jutro rano przejeżdżał przez Hoa Phu - powiedział Ky. - Od kilku dni chłopcy skarżą się, że nie mają dość amunicji, przydałoby się też trochę więcej broni. Poza tym sam mówiłeś, że czas zabrać się za wioskę.

- Można ufać twojemu człowiekowi? - zapytał Khong.

- Wiadomość pochodzi prosto z ust porucznika Xonga - upewnił go Ky.

Xong był oficerem Armii Południowego Wietnamu i stacjonował ze swym oddziałem w Lai Khe. Khong i Ky wiedzieli, że szpiegował także na rzecz Wietkongu. Xong bynajmniej się z tym nie krył, gdy po raz pierwszy zaoferował Khongowi sprzedaż informacji.

Ky usłyszał szmer za plecami Khonga. Dziewczyna, którą widział wcześniej, odzyskała świadomość. Wstała i rozejrzawszy się po namiocie dostrzegła bagnet Khonga leżący obok karabinu i pistoletu w kaburze. Chwyła go i z krzykiem rzuciła się na Khonga.

Khong odwrócił się na czas. Lewą ręką złapał dziewczynę, podłożył jej nogę i przewrócił na ziemię, po czym sam wylądował na niej. Wyrwał jej bagnet z dłoni i zaczął na oślep wbijać go w ciało dziewczyny. Jego szorstki, urywany oddech sprawiał wrażenie, że przeżywa chwile największej rozkoszy.

Dziewczyna krzyknęła jeszcze raz, coś w niej zabulgotało i znieruchomiała.

Khong zadał jej jeszcze kilka ciosów i pozostawił bagnet tkwiący w jej lewej piersi. Wstał, splunął na ciało i odwrócił się do Ky. Całe spodnie z przodu ociekały mu krwią.

- Zabierz ją.

Ky wszedł do namiotu, wyciągnął bagnet z ciała i podniósł bezwładne ciało zarzucając je sobie na ramię.

- Kurwa - skomentował Khong. - Jeszcze nie miałem dosyć. Gdzie jest ta druga?

- Trzymamy ją tutaj. Powiedziałaś, że będziemy się mogli z nią zabawić.

- Przyprowadź ją do mnie. I powiedz chłopakom, żeby się przygotowali na jutro.

Zaatakujemy konwój i Hoa Phu.

6

Tunel, nad którym ludzie Tsinga pracowali przez kilka ostatnich tygodni, zaczynał się w małej rozpadlinie sporo oddalonej od pasa śmierci otaczającego bazę. Oddział liczył sześć osób, mężczyzn i kobiet w wieku po dwadzieścia parę lat. Byli ubrani na czarno i uzbrojeni w karabiny AK-47.

Tuż po zapadnięciu zmierzchu Quang i resztki jego oddziału odnaleźli kopaczy. Żołnierze odsłoniли wejście i korytarz, który pod ostrym kątem zmierzał do bazy. Potem jeden za drugim weszli do tunelu i nie odzywając się prawie do siebie, kontynuowali pracę przy światłach latarek. Pracowali bez wytchnienia. Quang zauważył, że przyjęli go za swego dowódcę.

Gdy zobaczył, co udało im się zrobić do tej pory, aż zatrzęsł się z niecierpliwości. Zostało im już tak niewiele! Tsing mówił prawdę - znajdowali się pod samą bazą.

Jeden po drugim napełniali koszyki ziemią. Stojący z tyłu wynosili je i przynosili puste, pozostali zajmowali się umacnianiem ścian tunelu drewnem, bowiem tunel musiał być na tyle szeroki, by mogli zabrać ze sobą długą broń.

Gdy zaczęli kopać pionowy szyb - bezpośrednie wejście do bazy, zwolnili tempo. Pracowali teraz bardzo cicho nie chcąc, by jakiś nieostrożny ruch zdradził komuś na powierzchni ich zamiary.

Quang odpoczywał przy wejściu do tunelu, gdy usłyszał dźwięk przypominający ptasi świergot. Nasłuchiwał przez moment, potem sięgnął po karabin wsparty nie opodal o pień balsy. Wcześniej rozstawił czterech ludzi na straży wokół wejścia. Ich pozycje, ukryte w zaroślach, tworzyły rogi kwadratu, tak by wejście do tunelu znajdowało się mniej więcej w środku figury. Poświstywanie, które usłyszał, było ostrzeżeniem od jednego ze strażników, stojącego na północny wschód od Quanga - w kierunku przeciwnym od światła Lai Khe.

Usłyszał lekki szelest gałęzi i delikatne kroki, które po chwili ustały. Jakiś głos wyszeptał:

- Jestem porucznik Xong. Czy jest kapitan Quang?

Quang odsunął latarkę tak daleko, jak potrafił od swego ciała. Mrugnął nią przez chwilę, by poinformować nadchodzącego, gdzie jest.

- To ja, poruczniku.

Xong stanął obok Quanga, który dopiero teraz mógł zauważyć wąską twarz wieńczącą ciało ubrane po cywilnemu. Mimo masywnej sylwetki mężczyzna sprawiał wrażenie mięczaka i chyba dlatego Quang nigdy go nie lubił.

- Kapitanie Quang, bardzo mi przykro z powodu syna i ludzi - powiedział Xong nieco sepleniąc.

- Przejdźmy do rzeczy - odparł twardo Quang.

Xong wyszedł z bazy i zatoczył olbrzymie koło, by upewnić się, że nikt go nie śledzi. Był dowódcą tajnej komórki współpracującej z Wietkongiem, której członkowie rekrutowali się z żołnierzy południowowietnamskich. Niektórzy z nich mieli bezpośredni dostęp do części bazy zajmowanej przez Amerykanów i mogli wykraść amunicję i sprzęt prawie pod nosem dowództwa Pierwszej Dywizji. Wiadomość, którą przyniósł porucznik, pochodziła z takiego właśnie źródła.

- Schwytali porucznika Phama - odparł Xong. - To on wyśpiewał wszystko o tunelach.

- Możemy się cieszyć, że nie wiedział o tym - skomentował Quang. - Co z nim zrobili?

Quangowi wydawało się, że dostrzega cień uśmiechu na pomarszczonej, wąskiej twarzy porucznika.

- Będzie w areszcie, a jutro rano zabierają go do Sajgonu na dalsze przesłuchania.

- Musi zapłacić za to, co zrobił, nim opuści Lai Khe.

- Zajmę się tym - zapewnił go Xong. - Porucznik Pham nie wyjedzie żywy z Lai Khe.

- Dziś wieczorem skończymy podkop - powiedział Quang. - Będziemy się trzymać planów Tsinga i zaatakujemy bazę jutro w nocy.

- Pomogę wam, jak tylko potrafię, panie kapitanie.

- Nie powinieneś otwarcie zdradzać swych sympatii - ostrzegł go Quang. - Nie tylko postawiłbyś się w bardzo niebezpiecznej sytuacji, ale mógłbyś się stać cennym źródłem informacji dla wroga.

- Amerykanie zaczęli podejmować kroki w celu zastopowania przecieków. Podejrzewają, że w szeregach wietnamskich jest szpieg. Major Van Dow polecił mi zająć się tą sprawą.

- Będziesz więc w idealnej pozycji, żeby przeciągać sprawę, a może nawet znajdziesz kogoś, kto odpowie za ciebie? - zastanawiał się Quang.

- Myślałem o tym samym, panie kapitanie.

Quang nagle spowaźniał.

- Jest jeszcze coś, o czym muszę wiedzieć. I ty możesz mi to powiedzieć.

Xong skinął głową.

- Nazwisko człowieka, który zniszczył tunele, odpowiedzialnego za śmierć Tsinga.

Wiesz, kto to?

- Tak.

- Nie przekomarzaj się ze mną! - głos Quanga stał się twardy jak stal. - Jesteś lojalnym współpracownikiem Ludowej Armii Wietnamu, ale nic, powtarzam, nic nie odwiedzie mnie od zamiaru pomszczenia mojego syna.

- Nie przekomarzam się, panie kapitanie. Chciałbym tylko, żeby pan pamiętał o usługach, jakie oddałem, kiedy wojna się skończy. Przepędzimy Amerykanów, obalimy rząd Południowców. Zwycięzimy, a pan będzie miał wielką władzę. Czy wtedy mogę liczyć na pana wdzięczność za usługi, jakie teraz wyświadczam?

- Powiedz, co wiesz - głos Quanga był lodowaty.

- Człowiek, który pana interesuje nazywa się Scott Gaines i jest porucznikiem - powiedział Xong. - Został przydzielony do Pierwszej Dywizji Piechoty w Lai Khe.

- Jeden ze Szczurów - Quang wypuł te słowa jak najgorsze przekleństwo.

- Mogę panu powiedzieć coś więcej - zaofiarował się Xong.

- Powiedz.

- Wiem, gdzie porucznik Gaines będzie dziś wieczorem.

- Mów!

Xong odbył już wiele spotkań z kapitanem, lecz po raz pierwszy dostrzegł u niego coś, co przypominało poruszenie.

- Jeden z moich ludzi podsłuchał, jak Gaines rozmawiał z bazy przez telefon i rezerwował stolik w restauracji w Sajgonie dla dwóch osób. Na dziś wieczór.

- Więc nie ma czasu do stracenia - przerwał Quang. - Powinieneś mi o tym powiedzieć wcześniej. Teraz chcę znać szczegóły. Muszę wydać rozkazy.

- Co pan chce zrobić, kapitanie?

- Powiedziałem, że chcę znać szczegóły, poruczniku. Wyślę do Sajgonu naszych najlepszych strzelców. Porucznik Gaines i ktokolwiek się z nim umówił, zginą w restauracji.

Gaines i Ann zgodnie z planem pojechali do Sajgonu. Gaines, w świeżo wyprasowanych spodniach, czuł się znacznie lepiej.

Ann ubrała się zupełnie po cywilnemu - w dzinsową spódnicę i czerwoną bluzkę, która prócz tego, że była bardzo elegancka, podkreślała jej powabne kształty.

Wieczór rozpoczęli od spaceru aleją Nguyen-Hue, słynną z egzotycznych kwiatów.

Ludność stolicy Południowego Wietnamu, leżącej nad sześćdziesięciokilometrową zatoką, która łączyła port z Oceanem Spokojnym, rozrosła się podczas wojny do pięciu milionów.

Gaines chciał kupić Ann wszystkie kwiaty na ulicy, lecz ona zgodziła się tylko na jedną różę.

Zatrzymali riksę, podali prowadzącemu adres restauracji i usiedli. Zdążali po Duong Tu-Do - ulicy Wolności, głównej ulicy Sajgonu, która miała kształt szerokiego bulwaru prowadzącego z portu wprost do katedry.

Nowoczesne biurowce przygłniały swym ogromem domy starszej daty. Wszędzie tętniło życie, ulice pełne były samochodów, riks i rowerów. Sprzedawcy tłoczyli się jeden na drugim, głośno zachwalając swój towar, a grupy mężczyzn oddawały się grom hazardowym siedząc na chodniku.

Kobiety wietnamskie uchodziły za najpiękniejsze na Dalekim Wschodzie. Te godne szacunku ubierały się w kolorowe suknie przypominające kimona, zaś wszędo bylskie prostytutki wystawiały na pokaz swe atuty polecając usługi każdemu amerykańskiemu mężczyźnie w zasięgu wzroku. Z wyjątkiem Gainesa, któremu druga dama do towarzystwa nie była potrzebna.

Już po raz trzeci Gaines i Ann wybrali „Chez Louis”, elegancką pozostałość po czasach francuskiego kolonializmu. Nie było tam taniej niż w innych restauracjach, które jak grzyby po deszczu powyrastały w mieście, lecz jedzenie podawano znakomite. Nawet jeżeli wziąć pod uwagę fakt, że Gaines nie zaliczał się do znawców francuskiej sztuki kulinarnej.

Mieściła się w małym, niskim budynku, wciśniętym pomiędzy hinduski sklep z żywnością a chiński bazar, gdzie można było kupić wszystko, począwszy od ubrań, a skończywszy na klejnotach i suszonych rybach.

Zjedli duszoną wołowinę w sosie, rozmawiając o wszystkim: przeczytanych książkach, wspomnieniach z domu i tym, co przydarzyło im się do tej pory, unikali jednak jak ognia wojny i spraw z nią związanych. Należała im się przecież chwila ucieczki od piekła Lai Khe i brudnej wojny w dżungli, która wydawała się im teraz odległa o tysiące kilometrów.

Gdy skończyli deser i delektowali się podanym alkoholem, Ann poruszyła temat, o którym już dawno mieli poważnie porozmawiać.

Gaines nie pił zbyt wiele, przeciętnie trzy piwa w dniu wolnym, ale nic więcej. Czuł się dobrze po smakowitym obiedzie, naprawdę odprężony, lecz nie na tyle, by zupełnie zapomnieć o tym, gdzie są. Był tak samo czujny jak w dżungli na najmniejszy choćby sygnał zagrożenia, który lada chwila mógł się objawić spoza szumu rozmów.

Zdawał sobie sprawę, że wojna nie kończyła się w dżungli, że ludzka dżungla w mieście była tak samo niebezpieczna jak prawdziwa.

Tak czy owak dobrze wiedział, o czym mówi Ann, bo sam o tym wiele myślał. Dość dawno jednak nie myślał w taki sposób o żadnej kobiecie, może kiedyś dawniej, nim poszedł do wojska.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, poruczniku Gaines, że spędziliśmy wieczór rozmawiając o wszystkich rzeczach pod słońcem, ale nie zamieniliśmy ani słowa o nas?

Gaines spojrzał na zegarek.

- Lepiej się pospieszmy, jak mamy złapać autobus do bazy.

Uśmiechnęła się i westchnęła przesadnie.

- Wiedziałaam, że będziesz żartował, kiedy zacznę o tym mówić - położyła swe ciepłe, miękkie palce na jego twardej, posiniaczonej dłoni. - Kiedy zacznę mówić o nas.

Uśmiechnął się do niej. Podobała mu się, kto wie, może nawet coś więcej?

- Więc to tak wygląda? Czy mam rozumieć, że pozwolimy rozwinąć się temu, co jest między nami i zobaczymy, co z tego wyniknie?

- Nie wiem. A ty co o tym sądzisz?

- Pamiętaj, że to ty zaczęłaś - zażartował.

- Wszyscy, którzy nas znają, myślą, że śpimy razem - zauważyła.

- Z wyjątkiem tych, co nas znają naprawdę - poprawił ją. - Wiedzą, że po prostu jesteśmy przyjaciółmi. Ale wiem, co masz na myśli, Ann. Ja też wiele o nas myślałem.

- A to dopiero. Zastanawiałam się, czy ci to w ogóle przyjdzie do głowy.

- Dlaczego nie? - powiedział. - Cieszę się, że staliśmy się sobie bliscy, ale nie bardzo wiem, co z tym zrobić, biorąc pod uwagę okoliczności. Lai Khe to nie pierwsza lepsza ulica w domu.

Spojrzeni sobie głęboko w oczy.

- Moglibyśmy być kimś więcej niż przyjaciółmi. - odpowiedziała nie cofając dłoni.

- Jest ta cholerna wojna. Sam nie wiem, Ann. Nie jestem pewien, czy dobrze byłoby zacząć myśleć o sobie poważnie, a potem stracić się, kiedy nadejdzie czas złapać kulkę.

- Na wszystko jest czas i miejsce - skinęła głową nie spuszczać wzroku.

- Może masz rację.

- A może potrzebujemy się nawzajem? Scott, mężczyzna i kobieta potrzebują siebie nawzajem, by móc odczuwać coś więcej niż strach i ból. Teraz bardzo trudno o coś prawdziwego.

- Wiesz przecież, że nie o to chodzi, że cię nie chcę - wtrącił Gaines.

- Miło mi to słyszeć - rzuciła na poły ironicznie.

- Zobaczysz, jak na mnie działasz, kiedy nie będę się mógł pohamować, uwierz mi.

Jej oczy błysnęły i uśmiechnęła się.

- Nie mam wątpliwości. Miło z twojej strony, że przyznałeś, że będzie kiedyś pierwszy raz.

Gaines poczuł, jak fala gorąca obejmuje mu twarz, i miał cichą nadzieję, że się nie zaczerwienił. Nie można powiedzieć, że był nieśmiały w stosunku do dziewcząt, wręcz przeciwnie, nigdy nie miał kłopotów z umówieniem się na randkę. Ale to były dawne czasy. Teraz nagle przyszło mu do głowy, że coraz bardziej zapomina, jak ludzie zachowują się normalnie, w czasie pokoju. Jeżeli uda mu się przeżyć wojnę, może mieć kłopoty z zaaklimatyzowaniem się w normalnym życiu.

- Nic nie przyznawałem - zaprzeczył - chociaż z drugiej strony muszę przyznać, że pomysł ten pociąga za sobą daleko idące konsekwencje.

- Konsekwencje - uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. - Za dużo myślisz. W sprawach serca logika ma niewiele do powiedzenia.

Po raz drugi spojrział na zegarek uważając, by nie stracić jej dłoni ze swojej.

- W tym przypadku możesz mieć rację - powiedział. - W takim razie dajemy sobie spokój z autobusem do bazy. Nieobecność bez usprawiedliwienia.

- Już dobrze, ty mój służbisto - zgodziła się - ale jest też inne powiedzenie, brzemiennie w konsekwencje: ciesz się, póki możesz. Z nikim nie czułam się tak dobrze jak z tobą, nawet w domu, Scott. Nie darowałabym sobie nigdy wiedząc, że przeszliśmy obok siebie, zauważyliśmy się i nic z tego nie wynikło. Widzisz? Nie ma w tym żadnej logiki.

- Babskie gadanie - powiedział. - Konsekwencje konsekwencjami, ale ja mówiłem poważnie z tym autobusem, siostró Bradley. Lepiej się pospieszmy.

7

Vo Tran zostawił swych kolegów Chinha i Tho w rozlatującym się Citroenie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy od wejścia do „Chez Louis” i przeciskał się w stronę restauracji przez gęstwinę nawet o tak późnej porze tłoczących się ludzi i pojazdów.

W lepszych dzielnicach ruch kończył się z chwilą, gdy Amerykanie zaczęli wracać do swoich baz, lecz dzielnice rozrywki tętniły życiem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Tran szedł chodnikiem po przeciwległej stronie. Miał zamiar wejść do restauracji przez tylne drzwi, od ślepego zaułka między dwoma budynkami. Gdy znalazł się w bezpiecznym miejscu pospieszył do drzwi kuchennych, spod których doszedł go zapach gotowanych potraw zmieszany z odorem rozkładających się odpadków.

Miał nadzieję, że nie jest za późno.

Wiadomość przyszła bezpośrednio od dowódcy zgrupowania, który otrzymał ją od samego kapitana Quanga. Tran miał za zadanie sformować grupę uderzeniową.

Z Chinhem i Tho pracował już kilkakrotnie, mimo że miał dopiero dziewiętnaście lat, o rok więcej niż jego koledzy. Jego własny gang uliczny wzbudzał postrach wśród innych młodocianych gangów, złożonych głównie z osób, którym nie uśmiechało się chodzić do szkoły czy zostać wcielonym do wojska. Na życie zarabiali wymuszaniem okupu od drobnych sklepikarzy, mordując właścicieli lub paląc ich dobytek, gdy natrafiali na opór. Nieźle zarabiali też na sprzedaży narkotyków prostytutkom i ich klientom w dzielnicy Cholon, o którą toczyły się bezustanne walki gangów. Jednak spryt i brutalność Vo Trana i jego ludzi zapewniła im niezły udział w nielegalnym procederze.

Sajgońska policja miała ręce zajęte poważniejszymi przestępstwami, zwykle z udziałem lokalnych komórek komunistów i nie zwracała szczególnej uwagi na poczynania gangów, często nie zdając sobie sprawy, jak bliskie powiązania łączyły jedne i drugie.

Tran często wynajmował usługi własne i gangu Ludowej Armii z Północy, do której należał. Był na tyle bystry, żeby zdać sobie sprawę, że znacznie więcej można było osiągnąć znalazłszy się we właściwym czasie po właściwej stronie, dlatego nie odmawiał żadnych usług Wietkongowi. Tak jak dzisiaj wieczorem.

Stanął pod drzwiami i ostrożnie zajrzał do środka. Kuchnia była duża, jasno

oświetlona i pełna ludzi. Na pierwszym planie znajdowało się dwóch mężczyzn zmywających naczynia, z rękami po łokcie w mydlinach. Za nimi kucharze przygotowywali posiłki na długich stołach, zaś pomiędzy nimi krążyli zgrabnie ubrani we fraki kelnerzy, wchodząc i wychodząc wahadłowymi drzwiami.

Tran dysponował tylko pobieżnym opisem mężczyzny i kobiety, którzy byli celem ich dzisiejszego ataku. Nie mógł się zdecydować, czy zacząć działać, czy jeszcze poczekać.

W tej chwili chłopiec do posług otworzył drzwi do kuchni i popychając przed sobą wózek z naczyniami zatrzymał się obok zlewu.

- Hej, ty - szepnął Tran.

Chłopak usłyszał i podszedł do drzwi patrząc ciekawie na Trana.

- Idź stąd. Nic tu nie dostaniesz. Wszystko zabierają do domu kucharze i kelnerzy.

Odwrócił się, by odejść.

- Nie o to mi chodzi - Tran zawołał go z powrotem. - Przed restauracją mam riksę. Dał mi trochę forsy i powiedział, żebym tu na niego czekał, ale siedzi tu już dość długo ze swoją dziewczyną i...

- Aha, o to ci chodzi. Idź stąd, zanim mnie nie wpakujesz w jakieś kłopoty.

Tran podał mu donga.

- Dobrze mi zapłaci, jeśli jeszcze jest w środku, ale Amerykanie parę razy mnie oszukali. Chcę tylko wiedzieć, czy jest w środku.

Tran podał mu krótki opis dwojga.

Chłopak uchylił drzwi, ale tylko na tyle, by móc wyrwać pieniądze z dłoni Trana.

- Są, ale wygląda, jakby się już zbierali do wyjścia.

Tran rzucił się w ciemność zaułka wracając do Citroëna.

Tho i Chinh mieli zabić Amerykanina, zaś Tran nie musiał im płacić w gotówce. Robili to za narkotyki, jak wielu członków gangu. Głupcy, pomyślał Tran. Marnie zginą.

Amerykanin nie mógł wyjść żywy z restauracji. Był jeszcze czas. Rozkaz zostanie wykonany.

Porucznik Xong podniósł oczy znad papierów na biurku i zobaczył, jak dwóch żołnierzy wprowadza do środka przyczepę, która służyła Xongowi i majorowi Dow za miejsce pracy, jeńca z Wietkongu - Phama. Ten ostatni wyglądał na wystraszonego, zmęczonego i zdezorientowanego.

- Rano mają mnie zabrać do Sajgonu - powiedział do Xonga. - Major Dow mówił mi, że więcej nie będę przesłuchiwany. Gdzie on jest?

- O tej porze major nie urzęduje - zgasił go Xong.

Oczy Phama otwarły się szeroko ze strachu.

- O co tu chodzi?

- Major Dow polecił mi przesłuchać cię jeszcze raz w związku z kilkoma istotnymi szczegółami w sprawie operacji kapitana Quanga.

- Ale major Dow powiedział...

- Major Dow zmienił zdanie. Nie zajmie nam to dużo czasu. Rankiem nie będzie cię tutaj. Nie bój się.

- Czego ode mnie chcecie?

Xong wstał zza biurka i podszedł do przodu. Kazał żołnierzom wyjść i dopilnować, by nikt mu nie przeszkadzał.

Strażnicy kiwnęli głowami, odwrócili się i wyszli.

Strach w oczach Phama przerodził się w panikę.

Jak tylko strażnicy zamknęli za sobą drzwi, Xong odpiął kaburę i zasunął drzwi na zasuwę. Wyjął pistolet.

Pham zaczął coś mówić, jakby chcąc prosić o litość, lecz nie udało mu się nawet zacząć. Xong uderzył go mocno w skroń kolbą pistoletu. Pham upadł na podłogę i skulił się.

Xong nie tracił czasu. Schował pistolet do kabury. Podszedł do biurka i wyjął z szuflady kajdanki, zwój taśmy klejącej i nożyczki. Wrócił do Phama i skuł mu ręce za plecami, potem uciął kawałek taśmy i zakleił mu nią usta. Trzymała mocno. Trochę dłuższym kawałkiem unieruchomił mu nogi.

Potem odwiązał sznur, którym Pham podtrzymywał spodnie w pasie i sporządziwszy pętlę założył mu ją na szyję. Schylił się, podniósł Phama na nogi. Gwałtownym pchnięciem przesunął go pod ścianę, koło biurka.

Pham otworzył oczy. Z początku nie wiedział, co się dzieje, lecz za moment oczy nieomal wyszły mu z orbit, kiedy zdał sobie sprawę, w jakiej jest sytuacji. Desperacko próbował się wyrwać, ale nie był w stanie przeszkodzić Xongowi w tym, co robił.

Ze ściany nad głową Phama wystawał hak, na którym wieszano oświetlenie przyczepy. Xong chwycił Phama za gardło żelaznym uściskiem, przydusił do ściany i zaczął podnosić, ciągnąc równocześnie za sznur, który przewlókł wcześniej przez hak. Puścił Phama i ciągnął za sznur zapierając się nogą o ścianę. Czekał, aż Pham się udusi, co zajęło jakieś trzy minuty.

Kiedy ciało przestało się rzucać, a smród odchodów wypełnił pomieszczenie, Xong nie miał wątpliwości. Spodnie opadły na dół. Nie był to miły widok.

Metodycznie Xong kontynuował wykonanie zadania. Przywiązał wolny koniec sznura do haka na ścianie, ściągnął taśmę z ust trupa, uwolnił mu nogi i rozpiął kajdanki. Zwinął zużytą taśmę i wrzucił do kosza na śmieci.

Odsunął się na krok krytycznie przyglądając swemu dziełu. Popęłnił jeden błąd.

Wziął krzesło z za swego biurka i położył na boku pod wiszącym ciałem Phama. Teraz wszystko powinno być w porządku. Pham stanął na krześle, przywiązał sznur do ściany, założył pętlę na szyję i kopnął krzesło.

Zadowolony, Xong zatarł ręce, otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Strażnicy stanęli na baczność na jego widok.

- Idę do kuchni coś przegryźć - oznajmił. - Jeniec czyta właśnie swoje zeznania. Nie pozwólcie nikomu wejść do środka. Jak nie wrócę za dziesięć minut, sprawdźcie, co się dzieje. Zaraz będę z powrotem.

- Tak jest - odpowiedzieli równocześnie strażnicy.

Nie widzieli uśmiechu porucznika.

Ann zobaczyła ich pierwsza. Gaines stał przy kasie płacąc rachunek, przez chwilę nie zwracając uwagi na to, co się dzieje. Pociągnęła go mocno za rękaw w momencie, gdy kobieta za ladą wydawała mu resztę. Odwrócił się i spoglądając w ślad za jej wzrokiem dostrzegł dwóch mężczyzn, w których natychmiast rozpoznał ulicznych bandytów.

„Chez Louis” nie pasowało do nich.

Zeszli po trzech wyłożonych dywanem stopniach do środka i skierowali się do kasy. Po kilku krokach rozdzielili się. Mimo iż wieczór był gorący, obaj ubrani byli w skórzane kurtki, pod którymi, jak domyślał się Gaines, mieli broń.

Gaines bardzo niedelikatnie popchnął Ann w plecy prosto na parę czekającą na swoją kolejkę i wszyscy troje upadli na ziemię.

Część jego umysłu pracowała na przyspieszonych obrotach zastanawiając się nad tym, co powinien zrobić i jakie ma szanse, zanim ci nie podziurawią go jak sito.

Chłopcy wyglądali na szybkich, chyba nawet byli na haju, ale mieli przecież do czynienia z człowiekiem, który przeżył w dżungli najbardziej niesamowite i niebezpieczne sytuacje. Wydawało mu się, że spędził w niej całe życie.

Rzucił się z nienacką w stronę tego, który stał najbliżej, nim ten zdążył wycelować w niego broń. Chłopcy nie spodziewali się, myślał Gaines, że nieuzbrojony facet ni z tego ni z owego zaatakuje.

Do drugiego nie dotarło jeszcze, co Gaines zamierza zrobić, gdy ten siłą rozpędu

walnął w swą ofiarę. Wyprostował prawą rękę wytrącając pistolet z dłoni tamtego, a potężnym ciosem drugiej zwałił go z nóg, nie spuszczać z oka pistoletu. Dał nura po niego, w chwili gdy drugi chłopak zaczął strzelać.

Krzyki ludzi wypełniły całą salę i wszyscy nagle zaczęli szukać schronienia pod stołami lub za co solidniejszymi meblami.

Gaines przewrócił się na bok mierząc do napastnika, gdy ten składał się do następnego strzału. Amerykanin bez namysłu wystrzelił trzy pociski, które utkwily blisko siebie w sercu chłopaka. Z ran wylotowych poleciały kawałki wnętrzości i strumienie krwi. Siła wystrzału rzuciła go na elegancką tapetę, na której krew pozostawiła ślady, jakby surrealistyczny obraz. Chłopak nie żył, zanim upadł na ziemię.

Gaines powoli podnosił się z podłogi.

Ostrzegł go krzyk Ann.

- Scott, za tobą!

Gaines odwrócił się w mgnieniu oka w stronę, gdzie powinien był leżeć pierwszy z napastników, lecz ten, wrzeszcząc przeraźliwie, właśnie zmierzał w jego kierunku z nożem w dłoni, który wcześniej porwał z jednego ze stołów.

Gaines wepchnął mu krzyk z powrotem do gardła jednym celnym strzałem, który wyrwał cały tył czaszki strumieniem mózgu i krwi.

W restauracji zaległa grobowa cisza. Ludzie zastygli w bezruchu, wstrząśnięci tym, czego przed chwilą doświadczyli.

Ann zbliżyła się do Gainesa.

- Scott, nic ci nie jest?

- Zupełnie nic, a tobie?

- Cała ścierpłam ze strachu!

- Dwa razy uratowałaś mi życie. Cholera, tak jeszcze nigdy nie dałem się podejść. Nie powinienem tyle pić. Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

- Zaraz wracam, Ann. Zaczekaj na mnie.

W restauracji powoli zaczęły rozlegać się głosy ludzi, niektórzy zaczęli nawet, z pewnym opóźnieniem, histerycznie krzyczeć.

- Gdzie idziesz? - zawołała za nim.

- Na pewno gdzieś czeka na nich kierowca - rzucił Gaines przez ramię. - Muszę się dowiedzieć, kto ich wysłał i co to za jedni.

Z pistoletem w dłoni zniknął w ogarniętym nocą Sajgonie.

Vo Tran, siedzący za kierownicą citroena zaparkowanego naprzeciw restauracji, usłyszał stłumione wystrzały, lecz w natłoku różnych odgłosów równie dobrze mogły to być ognie sztuczne puszczane przez rozbawioną kompanię w którymś z barów wzdłuż Duong Tu-Do.

Tran wiedział, co to za dźwięk. Czekał z włączonym silnikiem i zgaszonymi światłami. Odbezpieczony karabin thompsona położył na kolanach i czekał. Wyteżył wzrok czekając na Tho i Chinha, którzy lada chwila powinni wybiec z „Chez Louis”, a wtedy on podjedzie szybko po nich i zawiezie w bezpieczne miejsce.

Coś się musiało stać, zdecydował. Czekał chyba trochę za długo, więc włączył światła i ruszył.

Wtedy zauważył Gainesa. Przyspieszył, trzymając lewą ręką kierownicę, a prawą położył na spuście Thompsona.

Gaines stał w cieniu, obok wejścia do restauracji, trzymając w dłoni pistolet. Rozglądął się w lewo, potem w prawo. Właśnie w tym momencie citroen zbliżył się do krawężnika roztrącając pieszych i rowerzystów, którzy posyłali za samochodem wiązki przekleństw.

Tran czuł, że pistolet Gainesa musiał pochodzić od Tho albo od Chinha i że obaj z pewnością nie żyli. Wychylił się z okna samochodu mierząc z karabinu do Amerykanina i nacisnął spust.

Gaines zauważył wycelowaną w siebie lufę karabinu i natychmiast krzyknął:

- Padnij! - tak głośno jak tylko mógł po angielsku i po wietnamsku i błyskawicznie rzucił się na chodnik, nim Tran zaczął strzelać.

Niektórzy ludzie usłyszeli ostrzeżenie Gainesa i ukryli się, inni zaczęli się chować już po gradzie wystrzałów, który spadł na miejsce, gdzie przed chwilą był Gaines.

W całym zamieszaniu Tran stracił o oczu Amerykanina, lecz doskonale widział, jak kilkunastu przechodniów upadło na ziemię od kul. Potem samochód stojący przed wejściem do restauracji eksplodował nagle rozrzucając ogień i odłamki we wszystkich możliwych kierunkach.

Tran przyspieszył strzelając dalej za siebie do tyłu. Po kilku sekundach przestał, rzucił karabin na siedzenie i skupił uwagę na kierowaniu pojazdem. Za późno.

Rozległo się głucho uderzenie metalu o ludzkie ciało. Tran przycisnął pedał gazu i odrzucił je na bok. Ktokolwiek został trafiony, był tylko cieniem, plamką w kącie szyby.

Powtarzał sobie, że musiał trafić Amerykanina, ostrzelał przecież dość dokładnie chodnik przed restauracją. Szkoda tylu ludzi, szkoda Tho i Chinha, ale najważniejsze, że Amerykanin nie żył. Tran myślał teraz tylko o ucieczce. Spojrzał w lusterko i uśmiechnął się na widok dymu przed wejściem do „Chez Louis”, ale za moment kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie i coś, co wydawało mu się sylwetką człowieka.

Był prawie pewien, że widzi porucznika Scotta Gainesa, który stanął na środku ulicy, podniósł obie ręce i celował.

Tran wrócił wzrokiem przed siebie szukając najbliższego zakrętu, za którym mógłby się schować. Nie dam rady! pomyślał.

Huk wystrzału nie dotarł do jego uszu. Przedziurawiona opona sprawiła, że stracił panowanie nad samochodem, który jechał teraz sobie tylko wiadomym torem. Tran desperacko próbował zahamować, lecz samochód wpadł w poślizg i przewrócił się wlokąc za sobą warkocz iskier, nim zatrzymał się z hukiem i trzaskiem na jakiejś przeszkodzie.

Tran odzyskał przytomność leżąc w dziwnie skulonej pozycji. Czuł na twarzy jakąś ciepłą, mokrą substancję. Nic go nie bolało, ale był w szoku. Ból przyjdzie później.

Uciekać.

W tej samej chwili poczuł zapach benzyny. Prerażony próbował się wydostać z leżącego na boku auta.

Gaines! pomyślał. Nie może mnie tu znaleźć!

Benzyna z przedziurawionego zbiornika przedostała się na gorący, przegrzany silnik. Vo Tran nie słyszał wybuchu, który zakończył jego życie.

Policja sajgońska i wojskowa połączonych sił zbrojnych zabrały się za przesłuchiwanie świadków strzelaniny w „Chez Louis” tak gorliwie, że nim wszystko zostało wyjaśnione, było już dobrze po północy. Na szczęście nikt z gości nie odniósł obrażeń, jednak na zewnątrz dziewięć osób poniosło śmierć: cztery kobiety, trzech mężczyzn i dwoje dzieci. Stróże prawa doszli do wniosku, że był to jeszcze jeden przypadkowy atak terrorystyczny na amerykańskiego żołnierza. Podobne zdarzały się w Sajgonie dosyć często.

Gaines nie był przekonany co do tej przypadkowości, ale postanowił się nie odzywać. Miał wrażenie, że policjantom było na rękę wyeliminowanie z gry trzech przeciwników. Z rozmów między policjantami wywnioskował, że zabici przez niego młodzi ludzie byli członkami jednego z ulicznych gangów.

Po wszystkim Gaines i Ann odwiezieni zostali do bazy wojskowym helikopterem.

Siedzieli obok siebie na ławce przyspawanej do kadłuba w ciemnym wnętrzu maszyny, rozjaśnianym jedynie bladym migotaniem kolorowych lampek w przedziale pilota. Ann wzięła go za rękę.

Gaines nie miał nic przeciwko temu. Trzymali się tak jak uczniowie na pierwszej randce, pomyślał. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Następnego rana spotkanie w bunkrze kapitana Cartera nie odbywało się już w tak przyjaznej atmosferze jak relacja z udanego wysadzenia tuneli Wietkongu. Obecni byli Carter, Gaines i jego drużyna wraz z Bok Van Thu, major Dow i porucznik Xong, którego major Dow nazwał kiedyś swoim najlepszym człowiekiem, jak pamiętał Gaines.

Po przedstawieniu Xonga major Dow posłał Gainesowi krzywy półuśmiech.

- Cieszę się, że poradził pan sobie tak dobrze z napastnikami w Sajgonie, panie poruczniku. Miał pan szczęście.

- Szczęście nie ma tu nic do rzeczy - wtrącił Hidalgo.

- Kłopot w tym, że straciliśmy wszelkie ślady, które mogłyby nas naprowadzić na to, kto nasłał na mnie tych chłopaków - powiedział Gaines. - Ale bardziej interesuje mnie ten wasz Pham. Porozmawiajmy o nim.

- Powiedziałem porucznikowi Gainesowi i jego ludziom, o tym jak Pham powiesił się wczoraj wieczorem - wyjaśnił Carter.

- Szkoda - Dow skinął głową, potem lekko wzruszył ramionami. - W Sajgonie nie traktują jeńców zbyt łagodnie, nawet tych, co chcą współpracować, jak Pham. Musiał sobie z tego zdawać sprawę, bo powiedział o tym porucznikowi Xongowi.

Gaines spojrzał na Xonga.

- Został sam?

- Wydawało mi się, że jest bezpieczny - odparł Xong unikając wzroku Gainesa. - Nie było mnie tylko przez dwadzieścia parę minut. To wszystko moja wina, powinienem był przewidzieć, że w jego stanie może się nawet targnąć na swoje życie.

- Czy właśnie to miał pan wczoraj na myśli mówiąc o ataku odwetowym Wietkongu?
- spytał DeLuca.

Dow zaprzeczył.

- Strażnicy stali cały czas przy wejściu, kiedy porucznik Xong wyszedł. Ufam im.

Hidalgo nie robił tajemnicy z tego, co sądził o Xongu.

- Jest pan pewien, że na to zasługują?

Xong wbił oczy w podłogę bunkra i udał, że nie słyszy.

- Wystarczy - Gaines zwrócił uwagę Hidalgo. Potem zwrócił się do majora: - Pamiętam, że mówił pan coś o oddelegowaniu porucznika Xonga do rozpracowania sprawy kradzieży amunicji. Podejrzewaliśmy o to szpiegów.

- Poruczniku Xong - Dow przynaglił oficera.

Tym razem Xong spojrział w oczy Gainesa.

- Przykro mi, ale do tej pory nie mamy żadnych śladów.

- Mam przecucie, że te kradzieże są tylko częścią czegoś większego - powiedział Gaines - i jak nie zareagujemy odpowiednio, może się stać coś znacznie poważniejszego.

- Proszę mi wierzyć, nie zasypiamy gruszek w popiele - zaprotestował Dow. - Porucznik Xong podczas śledztwa dowiedział się czegoś bardzo ciekawego.

- Wśród chłopów krążą plotki, że kapitanowi Quangowi w jakiś sposób udało się przeżyć, lecz stracił większość ludzi, w tym swojego syna.

- Czy to wszystko, co mamy? - zapytał Gaines. - Garść plotek?

- Byłbym skłonny się założyć, że to prawda - powiedział Dow.

- Więc poprowadźcie śledztwo w tym kierunku - zaproponował Carter. - Wszyscy wiedzą, że komuniści mają w Armii Południowego Wietnamu mnóstwo sympatyków.

- Nikt z moich ludzi do nich nie należy, mogę pana zapewnić - wzburzył się Dow. - Ale poruszmy niebo i ziemię. Chodźmy, poruczniku. Do widzenia panom.

Kiedy obaj oficerowie wyszli z bunkra, Gaines zapytał:

- I co o tym myślisz, Thu? Ufasz im?

Przez cały czas Wietnamczyk stał w kącie, lecz Gaines wiedział, że nie uronił ani słowa z rozmowy.

- Nie ufam im. Co do majora nie jestem pewien, ale porucznik Xong z pewnością nie jest po naszej stronie.

- I tak ma wyglądać narodowa solidarność? - zażartował DeLuca.

Hidalgo przyznał Thu rację.

- Ten skurwiel Xong jest śliski jak piskorz.

Carter wstał drapiąc się w brodę z namysłem i patrzył w stronę wyjścia z bunkra.

- Jest wielu żołnierzy w armii wietnamskiej, którzy są naprawdę po naszej stronie, ale nie jestem pewien, czy ci dwaj do nich należą. Powiem naszym ludziom, żeby się im lepiej przyjrzeni.

- Na razie więcej nie da się zrobić - powiedział niezadowolony Gaines. - Thu, wydaje mi się, że dobrze byś zrobił jadąc do Sajgonu. Spróbowałbyś się tam czegoś dowiedzieć.

- Zgoda.

- Tylko uważaj, żeby ci nie dali w dupę - mruknął Hidalgo. - Jak ciebie zabraknie, znowu każą mi chodzić po norach.

- Masz stracha, co? - odparł Thu z uśmiechem. - Poruczniku, czy mam się też wywiedzieć o napad w restauracji wczoraj wieczorem?

Gaines przytaknął.

- I spróbuj sprawdzić te plotki o kapitanie Quangu.

DeLuca zmarszczył brwi.

- Myślicie, że Quang maczał palce w zamachu na porucznika i Ann?

- Jeżeli uszedł z życiem i stracił syna, to rzeczywiście ma powód, żeby zemścić się na nim za wszelką cenę - zauważył Carter.

- Od samego początku nie wydawało mi się, żeby to był przypadek - Gaines powiedział wreszcie to, co miał na sercu. - Zbyt dobrze mieli wszystko zaplanowane. Wiedzieli dokładnie, gdzie mnie znaleźć i nie tracili czasu na nic.

Carter pokręcił głową.

- To znaczy, że nasz szpieg przekazał im wiadomość.

- Jeżeli Quang żyje... - zaczął Thu. - Kiedy taki człowiek poprzysięgnie komuś zemstę, walka będzie na śmierć i życie.

- Mnie to nie przeszkadza. - mruknął Gaines. - Sprawdź tylko kilku ze swoich najlepszych informatorów, dowiedz się wszystkiego najszybciej jak można i wracaj tu cały i zdrowy przed zmierzchem. My zajmiemy się resztą.

Większość okolicznych mieszkańców sądziła, że magazyny na starej plantacji kauczuku są niezamieszkałe. Quang pocił się właśnie w jednej z takich budowli, otoczony odorem rozkładającej się roślinności. Cały oddział, liczący dziewięć osób, w tym dwie kobiety, przybył tu w pojedynkę, by nie zwracać na siebie uwagi. Ich dowódcą był młody chłopak, Vien.

Quang zwolnił kopaczy z samego rana, gdy dżungla tonęła jeszcze w porannej mgle. Zrobili to, co do nich należało. Dla sprawy oddali swój czas i wysiłek.

Ale ci, pomyślał Quang, poświęciliby dla niej nawet swe życie. Poznał to po ich zdecydowanych ruchach, błyszczących oczach i radości, z jaką przygotowywali się do walki. Szli zabijać.

W nocy Quang otrzymał meldunek o nieudanej próbie zabicia Scotta Gainesa i udanym rozwiązaniu sprawy porucznika Phama.

Quang przybył na to spotkanie samotnie, ryzykując nawet kilka godzin snu na strychu. Gdy się obudził, słońce stało już wysoko. Słyszając kroki zbliżającego się do magazynu człowieka odbezpieczył pistolet.

Przez zarośnięte okna do środka przedostawało się niewiele światła, nie był więc pewien.

- Stój! - krzyknął do przybysza. - I odwróć się powoli.

Mężczyzna zrobił to, co mu powiedziano.

Quang rozpoznał Viena. Schował pistolet i zszedł doń na dół po drabinie.

Gdy nadeszli pozostali członkowie oddziału, Vien poinformował ich, że misją dowodzi kapitan Quang, po czym kazał im otworzyć skrzynie, które ludzie Quanga przynieśli w nocy.

Quang usłyszał stłumione westchnienia, gdy odbito wieka skrzyń. Oczom zdumionych żołnierzy ukazało się dziesięć karabinów AK-47 wraz z nabojami i granatami. Żołnierze wzięli tyle amunicji, ile każdy z nich mógł unieść. Uśmiechali się do siebie radośnie, co chwilę zagadując do siebie.

- Nie chciałem was zniechęcać - zaczął Quang z odrobiną sarkazmu w głosie - ale mam nadzieję, że Vien uprzedził was, jak niebezpieczne macie zadanie.

Rozmowy ucichły.

- Powiedziałem. I nie omieszkałem dodać tego, o czym dowiedziałem się wczoraj wieczorem: plan nasz jest na tyle śmiały, że dzięki zaskoczeniu możemy ponieść bardzo niewielkie straty.

- Wszystko jest w waszych rękach - rzekł Quang. - Mój syn, Tsing, wszystko dokładnie opracował, ja tylko wprowadzam jego plan w życie.

Wyjął z kieszeni złożony kawałek papieru i położył na jednej z walających się wkoło beczek.

- To jest plan bazy w Lai Khe. Amerykanie nie podejrzewają nawet, co ich czeka. Zaatakujemy wcześniej rano, ale przedtem musimy się nauczyć na pamięć mapy i wszystkich instrukcji. Naszym zadaniem jest uczynić jak najwięcej szkód w możliwie najkrótszym czasie, wyeliminować z walki ilu się da żołnierzy amerykańskich.

A jednego w szczególności, pomyślał Quang, wypowiadając te słowa. Dowie się, gdzie go znaleźć, bowiem zamierzał go zabić własnymi rękoma.

Ann Bradley i kapitan Phil Stevens wyjechali z Lai Khe o ósmej tego samego ranka. Po kilku kilometrach drogą numer 13 skręcili na zachód i dalej połą drogą skierowali się do Hoa Phu.

Dzień był bardzo gorący mimo bardzo niskiego pułapu ciężkich chmur. W oddali zagrzmiało. Deszcz jednak nie nadchodził. Wilgotność powietrza przekraczała dziewięćdziesiąt procent. Ann wiedziała, że taka pogoda mogła utrzymywać się całymi dniami.

Stevens prowadził jeepa. Brezentowy dach był postawiony, lecz jego boki były otwarte na podmuchy powietrza, które osuszały mokre od potu mundury i dawały chwilę wytchnienia od upału.

Droga prowadziła teraz dołem, pomiędzy małymi wzgórzami. Była w fatalnym stanie z powodu ostatnich opadów, więc musieli jechać wolno i ostrożnie. Stevens od czasu do czasu soczyście przeklinał, próbując omijać głębokie koleiny i dziury. Im bardziej oddalali się od głównej drogi, tym gorzej się jechało.

Ann trzymała się poręczy, by nie wypaść z samochodu. Patrzyła przed siebie w zarośla, w których mógł się czaić wróg. Po drodze minęli amerykański patrol i grupę żołnierzy, którzy urządzali sobie właśnie małą przerwę przy chacie oblepionej znakami firmowymi coca-coli i amerykańskich papierosów. W oddali dostrzegli konwój czterech ciężarówek wiozących żołnierzy.

Ann spojrzała na spoconą z wysiłku twarz Stevensa. Chciała pozostawić bez komentarza jego złość i zniecierpliwienie, lecz nie udało jej się zdusić w sobie troski, jaką napawał ją ten widok.

Stevens miał trzydzieści trzy lata, był średniego wzrostu, a jasne włosy dodawały mu chłopięcego uroku. Niestety, podkrążone oczy i odór whisky z ust wskazywały aż nazbyt wyraźnie na to, jaki tryb życia ostatnio prowadził.

- Wiem, że masz wyższy stopień ode mnie, Phil - powiedziała wreszcie - ale muszę ci powiedzieć, że wyglądasz jak ćwierć dupy zza krzaka i jedzie od ciebie jak z gorzelni.

Zachichotał smutno.

- Ciekawe zestawienie - dupa i gorzelnia. Ale dzięki za współczucie, Ann. Jakoś to będzie. Miło, że o mnie pomyślałaś.

- Nic by się nie stało, jakbyśmy sobie dziś odpuścili wyprawę - powiedziała łagodniejszym tonem. - Jeżeli nie czujesz się dobrze...

- Nawet mi nie mów - obruszył się. - Czekają na nas ludzie, którzy pokonali wiele mil, żeby przyjść do lekarza, ludzie, którzy liczą na nas, a ja chcę im pomóc. Mam chyba trochę zszarpane nerwy.

- Myślę, że dobrze ci zrobi, jak od czasu do czasu oderwiesz się od życia w bazie, od ciągłych stresów.

Zachichotał znowu, tym razem bardziej naturalnie.

- Racja, pani porucznik Bradley. Pamiętam, że był to drugi powód, dla którego zgodziłem się na to. Byliśmy wtedy razem.

- Phil, proszę... - zaprotestowała.

Uśmiechnął się w sposób, który dawniej tak bardzo lubiła i machnął ręką.

- Nie martw się, Ann. Pasujecie do siebie ze Scottem. Cieszę się, że jesteśmy przyjaciółmi. To się zmieniło, ale nic poza tym. Dobrze, że żadne z nas nie jest dzisiaj samo.

Przeniosła wzrok na ostatni zakręt przed podjazdem do wioski.

- Brakowało mi pana towarzystwa, kapitanie.

Po zakończeniu romansu każde z nich stawiało sobie za punkt honoru zwracać się do drugiego oficjalnym tonem. Co za dziwny świat, pomyślała po raz nie wiadomo który, odkąd przybyła do Wietnamu.

- Jesteś bardzo dobry, Phil. Nie martw się, przeżyjemy.

Miała nadzieję zapomnieć o wszystkim, co się zdarzyło poprzedniej nocy w Sajgonie. Scott podejrzewał, że strzelanina była częścią jakiejś większej operacji i wołał, by jak najmniej osób dowiedziało się o niej. Kapitan Carter nie chciał sponosić winowajcy.

Po powrocie z Sajgonu zażyła valium, co pomogło jej zasnąć, lecz nie odpocząć. Teraz jednak, gdy zbliżali się do wioski, czuła przyływ nowych sił.

- Chcę, żebyś wiedziała - powiedział Stevens - że Scott według mnie jest w porządku.

- On i ja jesteśmy...

- Wiem, po prostu przyjaciółmi. Odpowiada mi to i pamiętaj, że masz mnie w odwodzie.

- Wiem, Phil. Dzięki i wzajemnie.

Wprowadził jeepa w zakręt, za którym była wioska.

- No to do roboty - powiedział.

Hoa Phu mieściła się w dolinie o łagodnych, porośniętych dzunglą zboczach, które przechodziły w skaliste szczyty. Właśnie tam Khong i jego bandyci urządzili sobie doskonały punkt obserwacyjny. Ky, jak zwykle, stał u jego boku, a za nim reszta bandy, dokonując ostatnich przeglądów broni.

Wioska składała się z kilkunastu bambusowych chat wzmocnionych gdzieś tam ziemią, a jej mieszkańcy byli bez wyjątku rolnikami. Uprawiali melony, grejpfruty i orzeszki ziemne. W zagrodzie, rozleniwione upałem bydło porykiwało smętnie. Zwykle w dzień targowy Hoa Phu tętniła życiem, a szeroka droga zastawiona byłaby ciasno rzędami kramów. Dzisiaj jednak byli tam tylko jej stali mieszkańcy, nawet świnie i drób chodziły wolno.

Do pozycji bandytów docierały strzępy rozmów, odgłosy zwierząt, które trudno było zidentyfikować. Całość tchnęła błogim spokojem.

Tak, pomyślał Khong, dojrzała już do zbioru, jak wczoraj powiedział Ky. Spojrzał teraz przez lornetkę w lewo, skąd wyłaniała się droga wiodąca do wsi. Pojawił się teraz na niej jeep z amerykańskimi oznaczeniami. Warkot jego silnika tłumiony był do tej pory przez gęste zarośla, lecz zabrzmiał donośnie, gdy samochód pojawił się w dolinie, dotarł do wioski i stanął. Dwoje żołnierzy w mundurach, mężczyzna i kobieta, wysiadło z samochodu. Nie byli uzbrojeni, zauważył Khong, i w samochodzie nie było widać żadnej broni. Przywitał ich starszy wsi wraz z grupą mieszkańców.

Amerykane zaczęli wyładowywać z samochodu jakieś skrzynki, w których z pewnością były lekarstwa.

Kilka sekund później granat eksplodował. Jeep w mgnieniu oka zmienił się w kupę powyginanego żelastwa - grób Hogartha i Bonhama. Zaklekotały wokół karabiny. Nie można się było pomylić - AK-47. Szyby jednego z samochodów rozprysły się pod gradem kul, które

podziurawiły siedzących w szoferce dwóch żołnierzy.

Pozostali wyskakiwali z wozów. Część z nich padała na ziemię, nim zdążyli znaleźć sobie schronienie.

- Niech cię piekło pochłonie, Bonham! - powtórzył Hines.

Usłyszał strzały z lewej strony. Odwrócił karabin, lecz nim zdążył skończyć manewr, ujrzał trzech ludzi, którzy pierwsi otworzyli ogień do samochodów. Mieli go. Zasypał go grad kul.

Zginął z myślą, że nigdy nie zobaczy już żony i dzieci.

Wokół jego ciała trwała walka.

Sierżant Tom Hines patrzył na krążący mu nad głową helikopter patrolowy, po czym zajął się bardziej przyziemnymi sprawami i natychmiast zmarszczył brwi.

Porucznik Bonham jak zwykle całą swą uwagę skupiał na flircie z ładną Wietnamką, która sprzedawała w przydrożnym sklepiku.

Hines, którego skóra miała odcień czekoladowy, miał na sobie świeżo wyprany i wyprasowany mundur. Jego stan nijak nie pasował do przesiąkniętego wilgocią powietrza. Zaklął pod nosem.

Pochodził z Południowej Karoliny. Dodał sobie parę lat i w ten sposób zdążył jeszcze na krwawą operację usuwania Japończyków z Filipin pod koniec drugiej wojny światowej. Walczył też w Korei, gdzie zdobył honorowy medal Kongresu za odwagę, a listów pochwalnych wystarczyłoby na wytapetowanie średniej wielkości pokoju. Był pewien, że człowiek jego rasy zajdzie daleko wyżej w wojsku niż poza nim.

Tak oto znalazł się w Wietnamie i od razu zdobył sobie zaufanie wszystkich, z którymi miał do czynienia.

Konwój zatrzymał się przy sklepiku na rozkaz Bonhama i stał już pół godziny. Żołnierze wałęsali się pomiędzy wozami bojowymi i ciężarówkami z dostawami dla bazy sił specjalnych za Hoa Phu.

Hines wyznaczył pozycje obronne i próbował powstrzymać się od wyrażenia na głos swej opinii o bezmózgim poruczniku. Ale wkrótce jego cierpliwość wyczerpała się.

- Zbieramy się, chłopcy - rozkazał.

Żołnierze zaczęli wspinać się na platformę ciężarówki. Hines słyszał mamrotane pod nosem opinie, lecz nie mógł im nic zarzucić. Wiedział, co czują. Sam nie odwiedzał barów ani domów publicznych. W domu czekała na niego ukochana żona i dwie córki.

Bonham, przyciskający właśnie dziewczynę do ściany, odwrócił się, by popatrzeć na wchodzącego.

- Co się dzieje, sierzancie?

- Kazałem żołnierzom przygotować się do odjazdu, panie poruczniku.

Bonham był tak zajęty swoimi sprawami, że nie zauważył poruszenia. Odparł z dezaprobatą.

- Niech pan im każe zsiąść. Ja tutaj dowodzę. Jeszcze nie skończyliśmy.

- To pan nie skończył - powiedział Hines spokojnie. - Zatrzymaliśmy się tu tylko po to, by...

- Chłopcy potrzebowali odpoczynku - przerwał porucznik.

- Już sobie odpoczęli - oznajmił Hines. - Życie uczuciowe powinien pan prowadzić w czasie wolnym od służby - dodał, jakby dziewczyna była nieobecna.

Wietnamka spoglądała na Bonhama próbując zgadnąć, jak się zachowa.

- Sierżancie... - zaczął, próbując odzyskać straconą pozycję.

Nie udało mu się.

- Poruczniku - powiedział Hines, jakby formułował pod jego adresem najgorszą obelgę. Zniżył głos do szeptu, by nie podsłuchali ich żołnierze, lecz mówił stanowczym tonem. - Zgłosiłem się na tę misję na ochotnika. Z moją szarżą mógłbym sobie siedzieć za biurkiem w pokoju z klimatyzacją.

- Więc co pan tu robi?

Hines ruchem głowy wskazał na żołnierzy, nie przestał jednak patrzeć na porucznika.

- To są moi ludzie - warknął. - Większość z nich to jeszcze dzieci. Nie zamierzam oddawać ich życia w ręce jakiegoś idioty bez doświadczenia - mówił nie próbując nawet ukryć pogardy dla swego rozmówcy.

- Skoro więc pan tu jest, sierżancie, radzę panu, żeby wykonywał pan rozkazy przełożonego i...

- Mamy za zadanie dotrzeć z dostawami do bazy - powiedział Hines, jakby nie słyszał, co mówi Bonham. - Musimy wrócić przed zapadnięciem zmroku do Lai Khe. I z pewnością stanie w jednym miejscu nam nie pomoże. Żółtki zaraz się dowiedzą, i zanim się obejrzymy, dobiorą nam się do skóry.

- Nie wydaje mi się. Widział pan helikopter. Ta okolica jest...

- Bezpieczna, pewnie. Niech pan posłucha, widziałem już w życiu wielu chłopaków, którzy wrócili do domu nogami do przodu tylko dlatego, że zielony porucznik nie zwracał uwagi na to, co mówił doświadczony sierżant. Chłopcze, ja się już biłem, kiedy ty zmoczyłeś swoje pierwsze pieluchy. Ruszamy. Możesz się zabierać z nami albo zostać tu ze swoją panią, a my wstąpimy po ciebie w drodze powrotnej.

- Sierżancie, pańska niesubordynacja znajdzie się w raporcie, kiedy wrócimy do Lai Khe.

- Będziemy się o to martwić na miejscu. Aha, jeszcze jedno, panie poruczniku. Ci chłopcy, o których mówiłem... - przerwał, by wyrzucić większe wrażenie, później pokończył -

ich dowódcy wracali razem z nimi. Też nogami do przodu.

Potem spojrzął przelotnie na dziewczynę, skinął jej głową i wyszedł.

Po krótkiej wymianie zdań z Wietnamką Bonham podążył za Hinesem.

Kierowcy włączyli silniki.

Thi Sang był jednym z ponad miliona Wietnamczyków z Północy, którzy uciekli na Południe w 1954 roku po klęsce Francuzów. Północ dostała się w ręce komunistów, a na Południu utworzona została Republika Wietnamu.

Wielu kolegów, przyjaciół i krewnych zostało, sądzili bowiem, że komuniści nie będą tacy źli.

Od tego czasu przestał dostawać od nich jakiegokolwiek wieści.

Thi Sang był starszym wioski Hoa Phu. Amerykanów darzył sympatią. Wiedział, że wojna rodzi szaleństwo w umysłach ludzi bezpośrednio w nią wciągniętych, bez względu na to, jakiej są narodowości. Szczególnie polubił jednak Phila Stevensa i Ann Bradley, którzy regularnie odwiedzali jego wioskę udzielając ludziom pomocy lekarskiej.

Byli też inni Amerykanie, którzy nazywali jego naród żółtkami i gardzili nim, lecz zdawał sobie sprawę, że często motywem takiego postępowania był zwykły strach.

Phil i Ann należeli w oczach Sanga do dobrych Amerykanów. Byli odważni, dowodziły tego ich cotygodniowe wizyty w wiosce, a przede wszystkim starali się zrozumieć Wietnamczyków. Próbowali się nauczyć strzępków języka, który dla większości ich rodaków pozostawał niezrozumiały.

Sang z boku przyglądał się dwóm rzędom ludzi ustawionych w kolejce do dwóch stolików, które przed chwilą rozłożyli Amerykanie. Rozmawiali z każdym. Od czasu do czasu prosili Sanga o pomoc w tłumaczeniu.

Zagrzmiało.

Sang miał nadzieję, że nie zacznie padać, a nawet gdyby, będą mogli kontynuować to, co rozpoczęli w jego domu, największym we wsi.

Po chwili zjawiał się konwój, złożony z czterech pojazdów. Z przodu jechał samochód transportowy, osłaniany trzema wozami bojowymi. Ann i Phil podnieśli na chwilę wzrok, lecz nie przerwali pracy.

Niepokój Sanga wzbudziła postać nieznajomego rowerzysty, który zjawiał się, nie wiadomo skąd.

Hines jechał z przodu w jeepie dowódcy rozglądając się bacznie dookoła, z palcem na

spuście karabinu. Bonham siedział z tyłu. Nie odzywał się do sierżanta od czasu postoju i ani na chwilę nie rozchmurzył twarzy. Hinesa wcale to nie obchodziło. Nadszedł czas, żeby odpowiednimi kanałami zablokować Bonhama, nim ten przez swą lekkomyślność spowoduje śmierć jakiegoś człowieka, lub nim jakiś chłopak rozwali go z zemsty.

Uwaga Hinesa powędrowała teraz w stronę rowerzysty, oddalonego od nich nie więcej niż kilkadziesiąt metrów. Poczuł, jak ciarki przebiegają mu po plecach.

- Zatrzymaj się - powiedział cicho do Hogartha.

Kierowca nacisnął hamulec, zaś rozżłoszczony Bonham natychmiast wrzasnął:

- Dlaczego stajemy?

Hines pokazał dłonią.

- Rowerzysty.

- I co z tego?

- Wygląda podejrzanie.

- Co się panu śni, do jasnej cholery? - krzyknął Bonham. - Ruszaj! Ja tu rozkazuję. Co jest z tym rowerzystą? - zapytał.

Hogarth nie przyspieszał. Czekał z oczyma utkwionymi w Hinesa.

- Co on tu robi? Skąd się tu wziął? Znam ten kraj, w Sajgonie pełno jest rowerów, ale tutaj - nie. Zatrzymaj się! - krzyknął do Hogartha.

- Masz słuchać moich rozkazów - wrzasnął Bonham. - Ruszaj!

Hogarth jakby nie słyszał.

- Ma zamiar nas zaatakować.

- Jesteś szalony! - rzucił Bonham.

Rowerzysta był już obok nich. Sięgnął pod ubrania, którymi przykryty był bagażnik i wyciągnął granat. Zębami odbezpieczył go i wrzucił do jeepa.

Hines widział wszystko. Znalazł jeszcze czas, by warknąć przez ramię:

- Niech cię piekło pochłonie, Bonham!

W tej samej chwili wyskoczył z auta. Ręką zamortyzował upadek, przewrócił się na bok dobywając karabin.

- Co to jest? - zapytał Ky, odkładając na bok lornetkę. - Jakież komplikacje?

- Nie - odparł Khong. - Lekarze amerykańscy chyba z bazy w Lai Khe, przyjechali tu z lekarstwami.

Oczy Ky zabłyśły.

- Wietkong zapłaci nam za nie, ile będziemy chcieli.

- Prawda - przyznał Khong. - Lepiej nie mogło nam się udać. Spojrzał na drogę, którą przybył samochód.

- Co się stało? - spytał ponownie Ky.

- Spóźniają się, ale zawsze przyjeżdżają. Nie będziemy musieli długo czekać. Zabieram się.

Khong podszedł do zardzewiałego, pogieętego roweru opartego o pień drzewa. Z przodu, przy kierownicy, miał umieszczony bagażnik, którego jedyną zawartość stanowić mogło pozwijane ubranie, lecz pod jego osłoną Khong ukrył granat i mały, amerykański karabin. Podał lornetkę Ky i zarzucił rower na ramię.

- Każ chłopcom zająć pozycje - powiedział. - Jak tylko konwój pokaże się w wiosce, jadę tam i zaczynamy.

- Będziemy gotowi. - Ky oblizwał usta.

Khong odwrócił się i poszedł w dół ścieżki, która wyprowadzić go miała na drogę o kilkaset metrów od wioski. Nie uszedł daleko, gdy huk nadlatującego helikoptera sprawił, że razem ze swymi ludźmi musiał poszukać schronienia. Udało im się, a ułamek sekundy później przeleciała nisko nad nimi maszyna, dotykając prawie czubków drzew.

Khong i jego ludzie ostrożnie wyszli z ukrycia, gdy huk ucichł. Szef bandy pomachał do swych ludzi z zadowoleniem. Czuł, jak puls mu przyspieszył w oczekiwaniu tego, co miało nastąpić.

Niedługo nadjedzie konwój i zacznie się masakra.

Gdzieś w oddali złowieszczo zagrzmiało.

Dziewczynka bardzo starała się być dzielna. Zamknęła mocno oczy, a choć usta co chwilę wyginały się w podkówkę, dzielnie wyprostowała rękę w stronę Ann. Drugą ręką trzymała się matki, która szeptem dodawała jej odwagi.

Ann spojrzała przed siebie i zauważyła rowerzystę w tej samej chwili, gdy konwój wjeżdżał do wioski. Thi Sang wyszedł przed nich, prawdopodobnie chcąc sprawdzić, skąd wziął się rowerzysta. Zaczęła na nowo bandażować ramię dziewczynki.

W tym momencie cichy, spokojny dzień w Hoa Phu przerodził się w najczarniejszy nocny koszmar. Ann usłyszała dziwnie przytłumiony odgłos wybuchu, szybko podniosła głowę i ujrzała, jak prowadzący jeep zjechał z drogi uderzając w pobliską chatę.

- Cholera! - syknął Phil.

Jakiś mężczyzna - czarnoskóry sierżant podnosił się z ziemi i przygotowywał karabin do strzału. Wrzaski atakujących wypełniły wioskę, po czym ustąpiły miejsca odgłosom AK-47 dochodzącym ze wszystkich stron. Samochody zasypane zostały pociskami. Amerykańscy żołnierze ginęli, nim zdążyli odpowiedzieć ogniem. Sierżant dostał serię w brzuch, która praktycznie rozerwała mu ciało na strzępy.

Wraz ze Stevenssem padli na ziemię. Po chwili zza jednej z chat wyszedł mężczyzna, który przedtem jechał na rowerze. Teraz uzbrojony był we własny karabin. Ann dobrze wiedziała, co zamierza zrobić.

Otoczył ich tłum przerażonych, krzyczących ludzi. Dorośli starali się znaleźć dla dzieci jakieś schronienie pragnąc sami ująć śmierci.

Ann przypomniała sobie o broni pozostawionej w jeepie o kilka kroków od nich. Phil miał swój karabin maszynowy, ona M-16. Potrafiła strzelać z obu. Nim pojechała na wojnę, ojciec nauczył ją posługiwać się bronią.

- Musimy się dostać do jeepa! - krzyknęła do Phila ponad hałasem.

Z początku Stevens nie wiedział, o co chodzi, ale po chwili odpowiedział:

- Dobrze!

Rzucili się w stronę pojazdu. Kule przelatywały ze świstem wokół nich, lecz udało się. Znaleźli się po drugiej stronie jeepa, co dawało im częściowe schronienie od kul. Ann sięgnęła do środka i podała Stevensowi karabin, sama biorąc do ręki swój. Próbowwała nie

patrzeć na to, co rozgrywa się przed jej oczami.

Rowerzysta otworzył ogień. Stał spokojnie w rozkroku i metodycznie naciskał spust. Seria dosięgła Thi Sanga, małą dziewczynkę i jej matkę, w chwili gdy chronili się w chacie. Ich krew opryskała całe obejście.

Ann krzyknęła ze zgrozą, a po chwili jej ciałem zaczęła wstrząsać siła odrzutu M-16. Napastnik schronił się za chatą. Ściana, obok której stał, ułamek sekundy temu zmieniła się w pył, lecz on nie został trafiony.

Phil trzymał karabin w obu dłoniach mierząc w tym samym kierunku co Ann, lecz nie strzelał. Popatrzył na nią z przestraszeniem.

- Uciekajmy stąd! - krzyknął, próbując usiąść za kierownicą.

Strzelanina przycichła. Od strony konwoju nikt już nie stawiał oporu.

- To nie jest Wietkong - powiedziała Ann - tylko zwykli bandyci, Phil.

- Gównu mnie obchodzi, kto to jest - rzucił. - My nie walczymy. Nie powinno nas tutaj być! - wypluł słowa trzęsąc się ze strachu. Na jego bladej twarzy pojawiły się kropelki potu.

- Phil, nie bądź tchórzem. Tu potrzebują nas ludzie.

- Nie pojedziemy daleko - powiedział, wspinając się do jeepa. - Wrócimy, jak się to wszystko skończy. My nie bierzemy udziału w walce, Ann...

Przykucnęła za samochodem starając się go przekonać. Kilka pocisków z metalicznym brzękiem odbiło się od samochodu, inne podziurawiły opony po odsłoniętej stronie.

Ann zobaczyła, jak Stevens instynktownie przechylił się na bok, ale nim zdążył zeskoczyć z samochodu, dostał kulę w prawą pierś. Uderzenie zrzuciło go na ziemię w czerwony pył. Ann puściła serię w kierunku dwóch bandytów, którzy przygarbieni biegli, by dołączyć do tego, który schronił się za chatą. Straciła ich z oczu, lecz wiedziała, że nie trafiła. Od chaty dzieliło ich tylko kilka metrów.

Przestała strzelać i rozejrzała się po wiosce. Kilka chat już płonęło. Między leżącymi Amerykanami przechadzał się jeden z bandytów i strzelał każdemu w głowę. Ann oparła karabin o jeepa i podeszła ostrożnie do Stevensa. Jego prawe ramię było ciemnoczerwoną masą pulsujących mięśni.

- Do diabła, dostali mnie! - wystękał, zaciskając zęby. - Należało mi się, zawsze byłem tchórzem. Cholera!

- Nie mów tak, Phil - pocieszała go. - Wydostaniemy się stąd.

Wyrzała zza samochodu. Ani śladu bandytów za chatą.

- Nie pieprz, Ann - powiedział Stevens. - Pamiętaj, że jestem lekarzem. Nie boli mnie

bardziej, bo jestem w szoku, ale lada chwila wyjdę z niego, a wtedy stracę przytomność z bólu albo z upływu krwi.

- Phil...

Podniósł pistolet słabnącą ręką.

- Może ich... powstrzymam... Uciekaj, Ann... No już, idź... i powodzenia z Gainesem... Fajny z niego facet... Uciekaj...

Z kącika ust popłynęła mu strużka krwi.

Zawahała się przez chwilę, nie wiedząc co robić. Strzały w wiosce ucichły. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był trzask płomieni palących się chat.

Nagle trzech bandyci wyskoczyli z zarośli jakieś dwadzieścia metrów od nich.

- Uciekaj! - wycharczał Stevens do Ann z całą siłą, na jaką go było stać. Podniósł pistolet i zaczął strzelać.

Ky wybiegł z zarośli razem z Khongiem i jeszcze jednym bandytą. Dostrzegł Amerykanów i uśmiech wykrzywił mu usta w szkaradny grymas. To on przechadzał się między rannymi żołnierzami dobijając ich strzałami w głowę. Największą przyjemność sprawiała mu śmierć przytomnych, ich krzyk, nim celny strzał rozwalił im głowy. W takich chwilach wszystko inne usuwało się w cień. Żył zemstą, zadawał ból i śmierć obcym najeźdźcom, którzy zabili mu żonę, czworo dzieci i zniszczyli farmę. Czuł się potem, jak po zażyciu bardzo mocnego narkotyku.

Zostało jeszcze dwoje!

Gdyby Khong nie podniósł dłoni, rozerwaliby ich na strzępy.

- Chcę ich mieć żywych - powiedział.

Ky zachowywał się, jakby nie usłyszał polecenia. Nienawiść pomieszała mu zmysły.

- Amerykanie muszą zginąć! - krzyknął po angielsku. - Śmierć Amerykanom.

Wystrzelił serię w kierunku jednego z nich, zabijając na miejscu.

- Nie posłuchałeś rozkazu, Ky - powiedział chłodno Khong. - Trzeba dać przykład innym.

Wycelował swój karabin w Ky i jednym naciśnięciem spustu pozbył się go. Potem spojrzął na drugiego.

- Chodź. Musimy złapać tę kobietę. Żywą.

- Tak jest - odpowiedział posłusznie tamten, nie zwracając sobie głowy trupem Ky.

- Za nią!

Puścili się biegiem za uciekającą kobietą.

Wiedziała, że ją złapią, ale przecież nie mogła się poddać, nie mogła przestać biec.

Słyszała tylko świst swego oddechu. Serce tłukło się w jej piersiach jak szalone, a oczy zalewał pot.

Potknęła się o wystający korzeń i upadła, upuszczając karabin. Zamortyzowała upadek dłońmi. W mgnieniu oka pozbierała się jednak, chwyciła karabin i ruszyła przed siebie. Przez myśl przelatywały jej koszmarne obrazy - masakra w wiosce, okrucieństwa, jakich dopuszczali się bandyci, wreszcie śmierć Phila Stevensa. To dodawało jej sił.

Potknęła się po raz drugi. Próbowwała się uwolnić z gęstej płataniny roślin, lecz nie zdążyła.

Goniący zwolnili, gdy zobaczyli, co się stało i podeszli ku swej ofierze wolnym krokiem. Jeden z nich uśmiechnął się. Nie był to przyjemny widok, miał bowiem twarz pociętą bliznami i okrutne wejrzenie.

- Dzień dobry pani - powiedział silnie akcentując każde słowo. - Miłe spotkanie.

Skinął głową do chłopaka stojącego za nią, zaś ten zamachnął się i kolbą karabinu uderzył Ann w głowę. Ujrzała wszystkie gwiazdy i straciła przytomność z myślą, że nie dożyje chwili, gdy będzie się mogła kochać ze Scottem.

12

Bok Van Thu przybył na przedmieścia Sajgonu wczesnym popołudniem i bezzwłocznie zajął się zbieraniem śladów, o co prosił go Gaines.

Dla Wietnamczyka porucznik był jednym z najodważniejszych żołnierzy, jakich znał, z tego powodu zadanie które mu zlecono - dowiedzieć się czegoś o zamachu na Scotta Gainesa i wyjaśnić powiązanie tego zdarzenia z pogłoskami o przeżyciu kapitana Quanga - miało dla niego jeszcze dodatkowy, osobisty wymiar, bowiem nie dalej niż tydzień wcześniej Gaines uratował mu życie.

Zgadzał się ze swym amerykańskim przyjacielem, że zamach nie mógł być dziełem przypadku, dlatego ucieszył się na myśl, że w jakiś sposób mógłby mu się zrewanżować. Minęły prawie dwa lata, odkąd Thu przeszedł na stronę Południa i nigdy nie było chwili, by pożałował swej decyzji.

Sam fakt wzięcia do niewoli nie spowodowałby tego - tylko jednostki spośród schwytanych partyzantów decydowały się na coś takiego, lecz Thu miał w Wietkongu wystarczająco wysoką pozycję, by zorientować się w rzeczywistej sytuacji. Wiedzy tej nie posiadali szeregowi żołnierze.

Za młodu przyłączył się do ruchu marksistowskiego, ponieważ nie podobało mu się, jak obce państwa mieszały się do spraw jego kraju i decydowały o jego przyszłości. Jednak po kilku latach walki przeciw Amerykanom zorientował się, że sam Wietkong był obiektem manipulacji innych sił, których wpływ na jego kraj wydawał się znacznie bardziej destrukcyjny niż amerykański. Zrozumiał, że on i inni ludzie, którzy z nim walczyli i obok niego umierali, są pionkami w większej grze.

Wiadomości o tym, co dzieje się na północy kraju powoli docierały na południe. Wprowadzono stan wyjątkowy, zamknięto usta wszelkiej opozycji poprzez zastraszanie i masowe egzekucje. Podobnie działał Wietkong, a przestępstw przezeń popełnianych nie można było w żaden sposób porównać z tym, co robili Amerykanie. Thu wiedział o masakrze ludności cywilnej w wiosce My Lai, lecz rozumiał, że była ona wyjątkiem od reguły. Wojna budziła we wszystkich ludziach najgorsze instynkty. Różnica polegała na tym, że Wietkong popełniał zbrodnie z zimną krwią, mając jedynie na celu destabilizację kraju i wzbudzenie strachu w ludności cywilnej.

Takiego losu Thu Wietnamowi nie życzył. Ustrój demokratyczny pozwalał przynajmniej ludziom próbować zmian od wewnątrz. Był przekonany, że gdy uda się powstrzymać komunistów, skończy się ludobójstwo i dlatego przeszedł na drugą stronę.

Znał wielu młodych ludzi, synów swych sąsiadów, krewnych i przyjaciół, którzy zginęli walcząc o wolność dla swego kraju. Chciał uczcić ich pamięć mając nadzieję, że w ten sposób chociażby w części zmieni na lepsze wizerunek swych rodaków w oczach Amerykanów.

Nie ufał ani majorowi Dow ani Xongowi. Miał nadzieję, że informacje, które uda mu się zdobyć w Sajgonie posłużą kiedyś przeciw nim, jeżeli rzeczywiście byli winni zdrady. Nim wyjechał z bazy, dowiedział się od Gainesa nazwisk zamachowców: Vo, Chinh i Tho, oraz tego, że byli członkami jednego z sajgońskich gangów ulicznych. To znacznie ułatwiło mu pracę. Wiedział, gdzie zacząć.

Znał Sajgon tak dobrze jak dżunglę, w której spędził znaczną część swego dorosłego życia. Jeżeli kapitan Quang rzeczywiście ocalał, będą musieli wieczorem wybrać się na polowanie i próbować go zniszczyć.

Klub „Kit Kat” znajdował się przy jednej z bocznych uliczek, otoczony mrowiem maleńkich sklepików, a niedaleko mieściła się dzielnica rozrywki. Prowadził go przyjaciel z dzieciństwa Thu, imieniem Nguyen Quot. Zanim go kupił, stanowił istną przystań dla prostytutek i handlarzy narkotyków, nic więc dziwnego, że dowództwo zakazało żołnierzom wstępu. Quot rozpoczął powolny proces budowania dobrej opinii klubowi od wyrzucenia powyższych, jednak gdy widział się ostatnim razem z Thu, skarżył się, że zaczynają go coraz częściej odwiedzać członkowie ulicznych gangów.

W rzeczywistości klub nie był niczym więcej jak kwadratowym pomieszczeniem z niskim sufitem i wyłożoną kafelkami podłogą, na której stały gdzieś stoliki. Z jednej strony znajdował się bar i szafa grająca.

Quot siedział właśnie za ladą przeglądając gazetę. Podniósł wzrok, a gdy ujrzał Thu, jego znudzona twarz rozjaśniła się szerokim uśmiechem.

- Co za miła niespodzianka. Nie spodziewałem się ciebie tak wcześnie. Co wypijesz?

- Piwo. Ja też się cieszę, że cię widzę, Nguyen.

Gdy kolega sięgnął po piwo, Thu kątem oka spojrzał na bok, gdzie siedziało trzech bardzo młodych ludzi. Mogli mieć nie więcej niż po osiemnaście lat. Patrzyli się na niego i chichotali między sobą mówiąc coś do siebie.

Quot postawił przed nim piwo, lecz nie chciał wziąć pieniędzy.

- Nie, kolego, stawiam ci na koszt firmy. Cieszę się, że wreszcie widzę kogoś, z kim

można po ludzku pogadać.

Thu skinął głową w kierunku chłopaków.

- Są z nimi jakieś kłopoty?

- Co jakiś czas. Wystraszyli większość z moich stałych klientów.

- Dlaczego ich nie wyrzucisz albo nie wezwiesz policji?

- Chciałem tak zrobić w zeszłym tygodniu.

- I co się stało?

- Pobili mnie i zagrozili, że zrobią to jeszcze raz, jeżeli będą ze mną kłopoty. Wiedzą, że sam sobie z nimi nie poradzę. Powinni wszyscy siedzieć w więzieniu.

- Znasz takiego jednego, co się nazywa Vo Tran?

Quot przytaknął.

- Był przywódcą jednego z takich gangów. Zawsze tu przychodził, ale wczoraj wieczorem ktoś go zastrzelił z innymi dwoma.

- Kto będzie następnym szefem gangu?

- Będą ze sobą o to walczyć - powiedział Quot.

- Chciałbym się dowiedzieć, kto ich nasłał na tego Amerykanina z dziewczyną - zniżył głos Thu.

Quot zmarszczył brwi.

- Można wiedzieć, dlaczego cię to interesuje?

- Znam Amerykanina, którego mieli zabić. Nazywa się Scott Gaines, jest porucznikiem i moim bardzo dobrym przyjacielem. Pracujemy razem. Jestem tu, żeby się czegoś dowiedzieć.

- Jeżeli to właśnie on zabił tych trzech, to jest i moim przyjacielem. Zrobię wszystko, żeby wam pomóc.

- Wiesz, kto to jest kapitan Quang?

- Tak, od wczoraj. Podśluchałem, jak Vo i inni naradzali się. Kapitan Quang wyznaczył nagrodę za jego głowę. Muszę cię ostrzec, ale znajdą się jeszcze inni, którzy będą chcieli ją zdobyć. Scott Gaines nie będzie mógł spać spokojnie, póki kapitan Quang żyje.

Thu pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Miałem przecucie, że mu się udało. Wiesz może, gdzie jest?

Quot potrząsnął głową i otwierał usta, by odpowiedzieć, lecz przeszkadzili mu w tym chłopcy, którzy dotąd siedzieli spokojnie z boku.

Thu obrócił się twarzą do nich, opierając plecami o bar.

Jeden z chłopaków zaczął:

- Zadajesz zbyt wiele pytań. Kim jesteś?
- Człowiekiem, który zadaje zbyt wiele pytań.
- Słyszeliśmy, jak wymówiłeś nazwisko Scott Gaines. Szukamy tego faceta.
- Żeby dostać nagrodę kapitana Quanga?
- Zgadza się - odparł bez zająknięcia chłopak. - Powiesz nam, gdzie on jest.
- Nie - powiedział spokojnie Thu. - To wy mi powiecie, gdzie znaleźć kapitana

Quanga.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

- Jest nas trzech, a ty jesteś sam - zwrócił uwagę chłopak stojący w środku.
- Jest nas dwóch - poprawił zza baru Quot.

Bandyci cofnęli się trochę i jak na komendę wyciągnęli z tylnych kieszeni spodni noże sprężynowe. Długie ostrza zabłysły groźnie w stronę Quota i Thu.

- Powiesz nam wszystko - wysapał jeden z bandytów. - Gdzie jest ten Amerykanin?
- A właśnie, że wy mi wszystko powiecie - powiedział cicho Thu.

Nagle błyskawicznie zeskoczył z krzesła i przyjął postawę obronną z prawą ręką gotową do ataku, a lewą chroniącą pierś przed ciosami. Począł jeszcze chwilę, aż bandyci zbliżą się do niego i wtedy ze stłumionym okrzykiem zaatakował. Bandyta z lewej strony, oberwawszy potężnym uderzeniem w czoło, osunął się nieprzytomny na ziemię błyskając białkami oczu. Następny chciał się cofnąć, lecz zbyt wolno. Thu obrócił się na pięcie i piętą trafił go w brzuch. Bandyta skulił się, stracił dech i padł na podłogę. Trzeci zaczął atakować z podniesionym nożem, ale nim zdołał uczynić krok, trafiła go w głowę butelka z piwem rzucona celną ręką Quota zza baru. Zamroczony, bandyta upadł.

Thu stanął nad jedynym z trójki, który nie stracił przytomności, położył mu stopę na gardle i lekko nacisnął. Chłopak zaczął się dusić i chwycił Thu za nogę obiema rękami. Thu nie zachwiał się ani na moment.

- Mógłbym ci skrócić kark jednym ciosem. Chcesz?

Oddech chłopaka stał się szorstki, urywany. Wił się pod ciężarem stopy Thu, jednak bez rezultatu. Oczy wyszły mu na wierzch z przerażenia.

- Nie... nie zabijaj... mnie... - zdołał wykrztusić.
- Gdzie jest kapitan Quang?
- Nie wiem, tylko Vo wiedział.

Thu przycisnął mocniej stopą gardło bandyty.

- Mów prawdę! - powiedział ostro.
- To prawda, przysięgam! Kapitan Quang... spotkał się z Vo. Miał zabić

Amerykanina... Nic więcej nam nie powiedział... nic...

- Masz szczęście, że ci wierzę wycedził Thu i cofnął się. Spojrzał na dwóch pozostałych bandytów i dodał: - Zabierajcie się stąd. Jak się dowiem, że któryś z was tu był i niepokoił mojego przyjaciela, dostanę was i ukatrupię. Zrozumiano?

Bandyci powoli podnosili się na nogi rozmasowując bolące miejsca.

- Tak... - któryś z nich wymamrotał.

Thu stał i patrzył, jak się wynoszą, jeden po drugim na niepewnych nogach, rzucając ukradkiem spojrzenia za siebie.

Thu odetchnął. Odwrócił się do przyjaciela i rzekł:

- No, to po kłopotcie. Nie sędzę, żeby cię więcej niepokoił.

- Ani ja. Sam nie wiem, jak ci się mogę odwdzińczyć - Quot uśmiechnął się szeroko. - Chyba postawię ci piwo.

- Dziękuję, innym razem - odparł Thu kierując się do drzwi. Muszę wrócić do Lai Khe i powiedzieć chłopakom, że kapitan Quang żyje. Jakbyś coś o nim usłyszał, natychmiast daj mi znać.

- Obiecuję - posiedział Quot. - I przekaż porucznikowi, żeby na siebie uważał.

- Nie znasz Scotta - odparł Thu. - Lepiej żeby kapitan Quang znalazł sobie bezpieczne schronienie, zanim Szczury go wytropią.

13

Chata, którą dzielili między siebie żołnierze Gainesa była jedną z wielu rozlatujących się drewnianych budowli w obozie. Poza nimi tu i ówdzie wyrastały przyczepy, wykorzystywane jako biura i bunkry obronne - centralny punkt bazy.

Nie mieli nic specjalnego do roboty, więc tym niecierpliwiej czekali na powrót Thu z Sajgonu i na jakiegokolwiek wiadomości od kapitana Cartera, co oznaczałoby ich powrót do akcji.

Leniwie tocząca się rozmowa zesza wreszcie na temat tego, co będzie, gdy skończy się wojna. Niektórzy potrzebowali alkoholu i narkotyków, by wspomnienia o domu, o najbliższych, nie stały się jedną wielką torturą, lecz Gaines był zdania, że rozmowa właśnie na ten temat miała pozytywny wpływ na morale żołnierzy. Jeśli pamiętali o tym, kto i co czeka na nich w domu, życie nabierało zupełnie innych wymiarów, stawało się jakby cenniejsze.

DeLuca siedział ze skrzyżowanymi nogami na drewnianej podłodze przeglądając jeden z numerów gazety wojskowej. Natrafił właśnie na artykuł o antywojennych protestach w Ameryce.

- Zawsze miałem nadzieję, że wrócę do domu i zacznę normalne życie w cywilu, kiedy to gównie się skończy. Teraz nie jestem wcale pewien, że poznam stare dobre Stany.

Hidalgo prychnął z oburzeniem.

- Mówisz, że nie chce ci się wracać do domu? Smęcisz albo nie powodziło ci się tam tak dobrze, jak mnie.

Wyciągnął się wygodnie na pryczy z rękami założonymi pod głowę. Z zadowoleniem wpatrywał się w sufit.

- Chłopie, tam seniority aż jęczą z tęsknoty za małym Hidalgo.

DeLuca zaśmiał się.

- Zanim wrócisz do domu, chłopcy powybijają ci już co lepsze kurki z kurnika. Cienko zapiejesz, bracie.

Hidalgo wzruszył ramionami.

- Więc będę musiał zapoznać parę nowych panienek. Możesz mi wierzyć, są gorsze rzeczy.

DeLuca przerzucał strony, chcąc znaleźć kolumnę z żartami.

- Pewnie masz rację, Johnny. Te dziewczynki, co tak wrzeszczą przeciwko wojnie, nie mają nic przeciwko wolnej miłości. Wyobrażasz sobie? Taką cenę mogę zapłacić. Dzięki, chłopie, czasem zapominamy o tym, co najważniejsze.

- Nie przejmuj się - odparł Hidalgo, podparł się na łokciu i spojrzał na Gainesa. - Ciekawe, co o tym myśli nasz porucznik. Myślałeś kiedyś o tym?

W grupie ludzi tak sobie bliskich jak Szczury, stopnie wojskowe miały drugorzędne znaczenie. Żołnierze szanowali siebie wzajemnie i po tym, czego razem doświadczyli nie przeszłoby im przez myśl traktować pozostałych inaczej niż jak bliskich przyjaciół.

- Tak, myślałem - przyznał Gaines. Siedział u wejścia do chaty opierając się plecami o framugę drzwi i patrzył na to, co dzieje się w bazie. Gdy zagadnął go Hidalgo zorientował się, że niezbyt dokładnie wie, o czym rozmawiali.

- Myśli o Ann - powiedział DeLuca zatroskanym tonem. - Nie ma lekko - dodał. - Wczoraj wyszliście razem obronną ręką ze strzelaniny, a dzisiaj jej nawet nie widziałeś.

- Odważna dziewczyna - skomentował Hidalgo. - Dostała ci się jedna z tych najlepszych.

Gaines nie był zaskoczony, że ci dwaj potrafią czytać w jego myślach. W walce tworzą się między ludźmi bardzo silne więzy.

- Masz rację, Johnny - przyznał. - Ann Bradley nie traci głowy z byle jakiego powodu.

- Wszystko jedno jaka odważna - wtrącił się DeLuca. - To całkiem naturalne troszczyć się o kobietę. Możesz mi wierzyć, jestem z pochodzenia Włochem. Bez względu na to, czy się do tego przyznają, czy nie, trzeba im ciepła i opieki, zwłaszcza tutaj. Ale w Hoa Phu jest spokojnie, nic jej nie grozi.

- Mam przecucie, że Quang żyje - zmienił temat Gaines. - Chciałbym, żeby Thu był już z nami.

- Idzie kapitan - powiedział Hidalgo.

Wyszli na zewnątrz, by przywitać Cartera, który zbliżał się ku nim długim, zdecydowanym krokiem od strony swego bunkra. Na jego twarzy malowało się zaniepokojenie. Gaines poczuł ciarki przebiegające mu po grzbiecie.

- Co się stało, kapitanie?

- Właśnie dostaliśmy wiadomość, że konwój zaopatrzeniowy został zaatakowany w Hoa Phu i nie dotarł na miejsce przeznaczenia.

- Ann... - wyrwało się Gainesowi, nim mógł się powstrzymać. Zaciśnął zęby, przygotowany na najgorsze.

- Prawdziwa masakra - ciągnął Carter. - Wygląda na to, że nikt w wiosce nie przeżył. Wszystko stało się nie więcej niż pół godziny temu. Mamy właśnie pierwsze raporty.

- Do jasnej cholery! - krzyknął Hidalgo spoglądając na czerwony pył u swych nóg.

- Nie wiem, jak pan to zrobi, ale muszę tam być - powiedział z determinacją Gaines.

- Potargaloby cię na strzepy, gdyby się stało inaczej - odparł Carter. - Wszyscy trzej bierzecie udział w akcji. W tym rejonie odkryto już wystarczająco dużo tuneli, że teraz z czystym sumieniem mogę was wysłać na rozpoznanie. Zabierajcie sprzęt, amunicję i zabierajcie się. Helikopter już się grzeje.

- W porządku - wymamrotał DeLuca. - Ma pan rację, i tak jakoś byśmy się w to wkręcili. Sprawa osobista.

- Co do Ann i Stevensa istnieje jeszcze nadzieja. Mogło ich nie być w wiosce, kiedy zaczęła się strzelanina.

Twarz Gainesa wyglądała jak wyciosana z kamienia.

- Chodźmy to sprawdzić.

Tego samego popołudnia oddział Viena odpoczywał przed planowanym nocnym atakiem na bazę w Lai Khe. Niektórzy spali w baraku, inni siedzieli na zewnątrz i czytali.

Kapitan Quang czekał. Gdy był pewien, że nikt nań nie patrzy, wymknął się z baraku. Jego krótka nieobecność nie wzbudzi niczyich podejrzeń, po prostu pomyślał, że wyszedł sobie ulżyć.

Szarogranatowa chmura wisząca nad okolicą nie zwiastowała rychłego deszczu i końca upałów tego dnia. Powietrze było nieomal zbyt gęste, by oddychać.

Będziesz pomszczony, synu, pomyślał Quang z bólem w sercu.

Odszedł w bok od baraku i jeszcze raz spoglądając na zachmurzone niebo zanurzył się w dżunglę. Miał nadzieję, że tej nocy jednak zacznie padać. Deszcz zatrzyma patrole w bazie, a ewentualny kontratak Amerykanów nie powinien być zbyt groźny.

Scott Gaines też umrze, opowiadał Quang duchowi swego syna, a ty będziesz pomszczony, bez względu na to, co się stanie. Nie mam teraz po co żyć. Jeżeli będę musiał umrzeć, by zabić tego przeklętego Amerykanina, niech się tak stanie...

Quang postanowił rozszerzyć zakres ataku, choć nie podzielił się jeszcze z nikim swymi planami. Zrobi to dopiero tuż przed rozpoczęciem akcji, gdy ludzie Viena będą wystarczająco podnieceni. Nie będą kwestionować nowych rozkazów Quanga, nawet gdyby oznaczało to ich śmierć.

Xong czekał w umówionym miejscu, zaledwie kilka kroków w dżungli, jednak

całkowicie niewidoczny dla kogokolwiek z baraku.

Quang skinął na powitanie.

- Gratuluję udanego pozbycia się tego zdrajcy Phama, poruczniku.

- Szkoda, że nie powiodło mi się tak samo ze Scottem Gainesem - odparł Xong.

- Tą sprawą też się zajmiemy.

- Dziś w nocy? Plany się nie zmieniły?

- Wszystko odbędzie się zgodnie z tym, co postanowiliśmy ostatnim razem. Co się dzieje ze śledztwem, o którym wspominałeś? Czy Amerykanie domyślają się, że jesteście naszymi oczami i uszami?

Xong uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Skoro major Dow powierzył mi śledztwo - jak mogą być jakieś wyniki?

- A co z Gainesem?

- Nic, przyznaję ze smutkiem. Szczury mają dziś wolny dzień. Nie udało mi się nic o nich dowiedzieć. Rano mieliśmy razem z nimi odprawę, ale w naszej obecności nie powiedziano nic, o czym byśmy już wcześniej nie wiedzieli. Mam jeszcze inne wiadomości.

- O czym? Czyżby o masakrze w Hoa Phu?

Zaskoczony Xong odkaszlnął.

- Ale przecież Amerykanie odcięli ten rejon od świata. Myślą, że nic się nie przedostało na zewnątrz do ludzi.

- Ludzie jeszcze nie wiedzą - powiedział Quang. - Ja wiem, poruczniku, bo nie jestem jednym z nich. Jestem dowódcą Siódmego Batalionu Ludowej Armii Wietnamu. Wydałem rozkaz, by wszyscy pozostali przy życiu żołnierze kręcili się w okolicy i dowiedzieli wszystkiego, co się da.

- Czy to był atak Wietkongu? Napadnięto i obrabowano amerykański konwój...

- Nie odpowiadamy za to. Gdyby któryś z innych dowódców zorganizował napad, wiedziałbym o tym. Nie, to byli bandyci, poruczniku.

- Wie pan, że wzięli zakładniczkę, kobietę?

Quang przytaknął.

- Widziano ich, jak uciekali. Po raz kolejny ten bandzior, Khong Noh, wszedł mi w drogę, ale teraz nie ujdzie mu to na sucho. Ufam, że moi ludzie wkrótce powiedzą mi, gdzie się ukrywają.

- Chce pan dostać tę kobietę?

- Oczywiście.

- Okup?

Quang nie próbował nawet ukryć niecierpliwości. Xong był cennym źródłem informacji, ale nie należał do inteligentnych.

- Chciałbym ją przesłuchać jeszcze przed atakiem - wyjaśnił. - Pracujesz dla Amerykanów i od czasu do czasu co nieco usłyszysz, ale przez cały czas jesteś dla nich kimś z zewnątrz. Ta kobieta jest jedną z nich, może wiedzieć o wiele więcej o rozmieszczeniu i sile ognia załogi bazy. Chciałbym, by nasza akcja zaskoczyła ich kompletnie.

- Rozumiem - powiedział Xong. - Dopilnuję, by natychmiast otrzymał pan wszelkie informacje, które pana interesują.

Quang usłyszał, jak Vien wzywa go od strony baraku. Wspiął się na pień balsy i spojrzał w stronę, skąd dochodziły głosy. Xong dołączył do niego. Ujrzeni Viena, obok którego stała zasuszone, przygarbiona i pomarszczona staruszka.

- To jest pani Truong - powiedział Quang. - Jest z moimi ludźmi. Przyszła tu, więc zapewne wie już, gdzie Khong Noh trzyma kobietę.

- A co ja mam robić?

- Wracaj do Lai Khe i daj znać, jeżeli będzie się działo coś ciekawego. Jak nie, wykonuj swe obowiązki.

Xong nie lubił być spychany na margines, ale posłusznie zgodził się.

Quang poczekał, aż Xong odwróci się i pójdzie w stronę drogi, odległej o jakieś dwieście metrów. Kiedy zniknął mu z oczu, Quang podszedł do Viena i kobiety.

- Pani Truong ma dla nas wieści - przywitał go Vien. - Wie, gdzie bandycie zabrali Amerykankę.

- Bardzo dobrze - ucieszył się Quang. - Każ swoim ludziom przygotować się do wymarszu. Idziemy odwiedzić Khonga w jego obozie. Nie mamy czasu do stracenia. Khong Noh nie obejdzie się z nią zbyt łagodnie, a Amerykanie z pewnością zaczęli jej już szukać.

Vien skinął głową i pobiegł wykonać rozkaz.

Quang rzekł do kobiety:

- Pani Truong, teraz proszę mi powiedzieć, dokąd bandyci zabrali Amerykankę?

Ann Bradley powoli odzyskiwała przytomność. Znajdowała się w pozycji siedzącej z dłońmi zawiązanymi z tyłu jakiegoś małego drzewka.

Otworzyła oczy i przeszył ją ból. Jęknęła, lecz jej uszu dobiegł jedynie cichy szmer.

Jakiś cień powoli nabrał kształtów młodego mężczyzny w chłopskim ubraniu. Siedział naprzeciw niej i na pierwszy znak życia dany przez Ann, skoczył na równe nogi. Patrzyła w ślad za oddalającą się sylwetką.

Żyję! Nie zabili mnie! Myśl ta ożywiała jej ciało.

Rozejrzała się wokół. Mała polana w środku dżungli. Gorąco. Duszno. Pełno owadów. Jak z oddali dolatywały ją pokrzykiwania małp i innych zwierząt, których nawet nie starała się zidentyfikować.

Ból dosłownie rozłupywał jej czaszkę i z każdą chwilą czuła się gorzej. Opuchlizna w miejscu, gdzie dostała kolbę karabinu, tętniła w rytm uderzeń serca.

Przypomniała sobie, czego była świadkiem. Mieszkańcy wioski, żołnierze. Phil. Mała dziewczynka, którą opatrywała, zanim rozpętało się piekło. Wszyscy nie żyją.

Mężczyzna wrócił z drugim, starszym, który kazał ją uderzyć. Stał przed nią oparłszy ręce na biodrach.

- Widzę, że zdecydowała się pani do nas przyłączyć - powiedział gardłowo, z silnym akcentem.

- Kim jesteś? - zapytała, zdziwiona opanowanym brzmieniem swego głosu. W środku zatrzęsała się z przerażenia.

- Jestem Khong Noh, a ty moim jeńcem.

- Widzę, ty draniu. Co tu się dzieje?

Dłonie Khonga zacisnęły się w pięści.

- Uważaj, co mówisz, amerykańska dziwko.

- Nie jesteście z Wietkongu - powiedziała. - Więc skąd?

Khong uspokoił się z widocznym wysiłkiem.

- Masz rację, droga pani. Nie jestem z Wietkongu. Tamci by cię już dawno rozwalili.

- Więc czego chcecie? - w głosie zabrzmiała nuta niepokoju. - Dlaczego zabiliście tylu niewinnych ludzi?

- Dostanę za ciebie okup - Noh podszedł do przodu i kucnął przy niej. - Lepiej, żeby zapłacili.

Wiedziała, co ma zamiar zrobić. Zamknęła oczy i przygryzła wargi, by się nie rozpłakać, zaś on brutalnie obmacywał jej piersi. Potem wstał, zostawiając młodego na straży.

Spuściła głowę i nie mogła już dłużej powstrzymać cisnących się do oczu łez. Łez wstydu i bezsilnej wściekłości.

Helikopter zatoczył łuk i wylądował na pastwisku przylegającym wprost do Hoa Phu. Gaines, DeLuca i Hidalgo siedzieli na ławce gotowi w każdej chwili do zejścia. Przy bocznych drzwiach siedział kanonier z dłońmi na swym działku M-60, wypatrując niebezpieczeństwa. Żołnierze byli w pełnym rynsztunku bojowym, zabrawszy ze sobą dodatkową amunicję i granaty.

Scena, jaka ukazała się ich oczom, gdy wylądowali, była prawdziwym koszmarem, z gatunku tych, których się nie zapomina.

Niektóre chaty były zupełnie spalone, wszędzie widać było martwe ciała - posiekane kulami karabinów maszynowych albo zasztyletowane i zatłuczone na śmierć.

Widok ten wzburzył do głębi oddział Gainesa. Nie wykluczone, że informacje Cartera były błędne, że Ann wcale nie wzięto do niewoli, a jej ciało znajdują za chwilę, poszarpane kulami jak wiele innych. Gaines, trochę wbrew sobie, zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby, gdyby zginęła na miejscu, zamiast znaleźć się w rękach ludzkich bestii, które nie wahały się przed popełnieniem najstraszliwszych zbrodni.

Wyskoczyli z helikoptera, a ten zaraz uniósł się w powietrze.

Podbiegli truchtem w kierunku największego skupiska amerykańskich żołnierzy. Trzyosobowe drużyny zajmowały się wkładaniem zwłok do plastikowych worków, na zewnątrz których przyczepiane były identyfikatory każdego z poległych. Inni sprawdzali w chatach, czy na pewno nikt nie ocalał z rzezi. Najgłośniejszym dźwiękiem było bzyczenie wszędobylskich much.

Prawdziwe piekło, pomyślał Gaines, nawet Dante nie wymyśliłby czegoś podobnego.

W stronę nadchodzących odwrócił się major Henry Otter, mężczyzna przysadzisty, o czerwonym, byczym karku. Miał na sobie wypolerowane na błysk buty, świeżo wyprasowany mundur i lustrzane, ciemne okulary. Gaines widział go już kilkakrotnie w bazie.

- Co tu, do jasnej cholery, robisz, Gaines? - spytał z mocnym, teksaskim akcentem.

- Przyjechaliśmy się trochę rozejrzeć.

- Z czyjego polecenia?

- Kapitana Cartera z S-2.

- A co wy tu macie do roboty? To byli moi chłopcy.

Otter poczerwieniał na twarzy, a siatka żył pojawiła się na szyi i czole.

Temu już niewiele brakuje, pomyślał Gaines. Nie czuł jednak wrogości wobec niego. Ci żołnierze, większość z nich naprawdę niedaleko wyszła poza wiek chłopięcy.

- Ktokolwiek to zrobił, musiał się gdzieś ukryć - powiedział Gaines.

- Kazałem helikopterom przeszukać cały teren...

- Dżungla jest bardzo gęsta, majorze - wtrącił DeLuca. - S-2 sądzi, że patrol na nogach ma większe szanse.

- Zamknij się, aż ktoś zapyta cię o zdanie. To rozkaz - warknął Otter, potem zwrócił się do Gainesa: - A ty sprowadź z powrotem swój helikopter i wynoście się stąd do diabła. Gdzie, do jasnej cholery, był ten facet, kiedyśmy go potrzebowali, kiedy mi powiedział, że okolica jest całkiem bezpieczna. A ja wysłałem moich chłopaków na śmierć.

- Niech pan się uspokoi, majorze - powiedział Gaines.

Otter podszedł parę kroków do przodu i zacisnął pięści.

- Tylko mi nie mów, żebym się uspokoił, skurwielu!

Gaines nie ustępował.

- A może to pan powinien się skontaktować z bazą, majorze. Robimy przecież to samo, chcemy dostać tych, co zabili pana ludzi.

- Niech piekło pochłonie ten pieprzony Wietkong!

- To nie Wietkong - odezwał się Hidalgo. - Okolice została z nich oczyszczona dość dawno. Myślę, że to bandyci.

Otter spojrzał ze złością na Hidalgo.

- Dobrze by ci zrobiło parę dni w pierdłu, razem z kolegą - ruchem głowy wskazał na DeLukę. - Nie przepadam za ochotnikami, którzy nie wiedzą, co mówią.

- Pan, majorze, nie wie, co mówi - przerwał Gaines. - Proszę zostawić moich ludzi i poszukać sobie kogoś własnych rozmiarów. To jak: sam pan sprawdzi, czy ja mam się skontaktować z bazą?

Przez kilka sekund stali w milczeniu i Gaines sądził, że major wreszcie wybuchnie. Obecność tylu zabitych każdemu mogła zszarpać nerwy. Otter spojrzał jeszcze raz na Gainesa, potem skinął głową i powiedział:

- Zaczekajcie tu, aż wrócę.

Podszedł do jeepa z radiostacją, choć wiedział, że baza potwierdzi misję tych żołnierzy. Wywiad zawsze robił, co chciał.

Ciężki odór śmierci w powietrzu utrudniał oddychanie. Gaines i jego ludzie nie mieli masek, w które wyposażono pracujących tu żołnierzy.

Gaines zatrzymał pierwszego napotkanego oficera i zapytał o Phila Stevensa. Porucznik wskazał mu najbliższego jeepa, obok którego leżało jego ciało. Nie było jednak ani śladu Ann Bradley. Zniknęły również wszystkie lekarstwa i środki opatrunkowe. Z pewnością bandyci nie pozostawiliby tak cennego ładunku. Samochód dostawczy też wyglądał na doszczętnie splądrowany.

Gaines stanął obok samochodu, którym jechali Phil i Ann. Drużyny pakujące zwłoki jeszcze tu nie doszły. Płótno, okrywające Stevensa pokryte było czerwonymi plamami. Gaines starał wziąć się w garść wiedząc, że przyływ uczuć osłabiał instynkt walki, nie mógł jednak powstrzymać cisnących się pytań. Gdzie jest Ann? Co z nią zrobili?

Hidalgo i DeLuca podeszli do porucznika z dwóch różnych stron patrząc na majora, który właśnie wysiadał z jeepa.

- Wygląda, że zupełnie o nas zapomniał - powiedział DeLuca.

- Tak, jak powinien - odparł Hidalgo. Co teraz?

Z samochodu pełnego dziennikarzy, nie wpuszczonego na teren wioski, dobiegły ich pełne niezadowolenia krzyki. Stosunek wojska do środków masowego przekazu był, delikatnie mówiąc, niezbyt przyjazny. Część żołnierzy uważała, że odpowiadają za wzrost nastrojów antywojennych.

- Rozejrzyjmy się trochę - powiedział Gaines.

Ruszyli wokół wioski patrząc uważnie na skraj dżungli rozciągającej się tuż za pastwiskami. Wtem Gaines posłyszał jakiś cichy głos.

- Co to jest? - zapytał DeLuca.

- Przypomina płacz dziecka - powiedział Hidalgo.

Gaines rozumiał słowa, ale nie potrafił powiedzieć, z której strony nadchodziły.

- Porucznik Scott, porucznik Scott! - krzyczał dziecięcy głosik.

- Tam! - Gaines wskazał dłonią kierunek.

Hidalgo i DeLuca odwrócili się w stronę podziemnego schronu.

- Co, do diabła? - warknął Hidalgo.

- Sprawdź. Ubezpieczajcie mnie - rzucił Gaines.

- Nie martw się, ale uważaj - powiedział DeLuca.

Hidalgo i DeLuca rozeszli się w dwie przeciwne strony, zaś Gaines podszedł do schronu i kopnięciem odsunął dobrze ukryte wejście. Cofnął się i opuścił broń.

Z płytkiej ziemianki patrzyły nań dwie małe, pobrudzone ziemią twarzyczki. Dziewczynka i chłopiec. Miał może z osiem lat, ona była chyba o kilka lat młodsza. Chłopiec obejmował ją ręką. Oboje drżeli, a dziewczynka cicho płakała. On miał na głowie czapkę

drużyny nowojorskich Jankesów.

- Porucznik Scott... - powtórzył chłopiec. - Źli ludzie... poszli?

Gaines przykucnął i podał mu rękę.

- Poszli, Duong. Ty i twoja siostra możecie wyjść.

Miesiąc wcześniej, kiedy Stevens miał straszliwego kaca, Gaines towarzyszył Ann w jej sobotniej wyprawie do Hoa Phu. Spędzał czas próbując nauczyć chłopców gry w baseballa, używając piłki tenisowej i grubych kijów. Duong i Gaines polubili się natychmiast, a na pamiątkę spotkania Amerykanin zostawił chłopcu czapkę.

Czy ukryli ich tu rodzice, zanim zaczęła się masakra? Najprawdopodobniej podzielili los mieszkańców wioski.

Duong podsadził siostrę, potem sam wziął za rękę Gainesa i wspinał się ze schronu. Gdy byli już na powierzchni, porucznik wziął dziewczynkę za rękę, co wydawało się ją trochę uspokajać. Spojrzał na chłopca.

- Pamiętam cię, Duong. Powiedz siostrze, że nic wam już nie grozi.

- Dobrze, porucznik Scott.

Podczas gdy chłopak tłumaczył, Gaines poprosił Hidalgo, by znalazł kogoś, kto mógłby zaopiekować się dziećmi.

Dzieci zaczynały się powoli rozglądać po okolicy i dostrzegać ślady zniszczeń.

- Duong, chciałbym, żebyś mi pomógł - poprosił Gaines.

- Tak, porucznik Scott... Zabić tych ludzi?

- Odważny chłopak - skomentował DeLuca.

- Tak, Duong. Znajdę i zabiję tych, co to zrobili - przyznał Gaines. - Widziałeś któregoś z nich?

- Ja tylko widzieć, jak źli ludzie iść sobie - powiedział chłopak. - Oni iść tędy - pokazał ruchem głowy na najbliższą chatę. - Oni zabić moi rodzice?

- Nie wiem, Duong, ale musisz być bardzo dzielny. Za chwilę przyjdą tu inni i zajmą się wami. Ja muszę iść i znaleźć tych, co zniszczyli twoją wioskę. Rozumiesz?

- Duong rozumieć - chłopak nie spuszczał oczu z twarzy Gainesa. - Ja pomóc porucznik Scott.

- Bardzo się cieszę. Opowiedz mi, co widziałeś. Czy ludzie, którzy tu byli, są z Wietkongu?

Chłopak potrząsnął głową.

- Nie Wietkong. Ja słyszeć, jak oni się śmiać. Bandydzi. Osiem bandyci. Oni śmiać się i mówić: Amerykanie myśleć my Wietkong.

- Czy prowadzili kogoś ze sobą?
- Tak, pani pielęgniarka - odparł chłopak.
- Widziałeś, dokąd poszli, Duong?
- Ja pokazać, porucznik Scott.

Wziął siostrę za rękę i poprowadził ich do miejsca odległego od ich kryjówki o kilkanaście metrów. Wyciągnął palec i powiedział tylko jedno słowo:

- Tam!

Gaines zauważył, że bandyci próbowali zatrzeć ślady starannie ułożonymi liśćmi i gałęziami. Ślady maczet rzucały się jednak w oczy, gdy patrzyło się z właściwej strony.

Hidalgo wrócił z piegopatym lekarzem, którego wesoła twarz i przyniesione w podarunku czekoladki zdobyły natychmiast serca dzieci. Przed odejściem Duong zapytał jeszcze:

- Porucznik Scott ścigać bandyci?
- Tak. Dziękujemy ci za pomoc, kolego. Jesteś bardzo dobrym żołnierzem.

Chłopak pokręcił głową.

- Ja dobrze grać w baseball - poprawił.

Doktor odprowadził dzieci do helikoptera.

- Boże, pomóż nam - westchnął Gaines, patrząc w ślad za dziećmi.

- Jeżeli w ogóle jest - mruknął Hidalgo. - Co my teraz zrobimy, poruczniku? Idziemy za nimi?

- A ty co myślisz, barania głowo? Wyślemy tych tutaj - kiwnął, głową w stronę żołnierzy Ottera - to zrobią taki rwetes, że bandyci usłyszą ich na całe mile i zabiją dziewczynę.

- To moja osobista sprawa - powiedział Gaines.
- Ich ośmiu, nas trzech - zastanawiał się DeLuca..
- Bywało już gorzej - podsumował Gaines. - Idziemy, Szczury.

Dali nura w zieloną ścianę dżungli i ruszyli truchtem w szyku bojowym, z bronią gotową do strzału.

Tay, nowy przyboczny Khonga po śmierci Ky, szarpnął Ann za włosy i podniósł jej głowę w stronę polaroida, którego trzymał w dłoni szef bandytów. Khong nacisnął migawkę, a błysk żarówki rozjaśnił wnętrze wojskowego namiotu odbijając się w nieobecnym spojrzeniu Ann.

Tay puścił jej głowę. Dziewczyna upadła na ziemię i przyglądała się im bez słowa. Miała związane ręce i nogi.

Gdy zdjęcie było gotowe, Khong oderwał je od taśmy prowadzącej i oglądał z zadowoleniem.

- Wystarczy.

Tay zaglądnął mu przez ramię.

- Zabijemy ją teraz?

- Niepotrzebnie się denerwujesz, Tay. W takich sprawach potrzeba trochę delikatności.

- Nie rozumiem.

- Zamierzam dostać za nią okup w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Amerykanie mogą zażądać dowodów, że żyje, zanim zdecydują się zapłacić - cierpliwie wyjaśnił Khong.

- A kiedy już zapłacą?

- A jak myślisz? - Khong zachichotał. - Nie można jej pozwolić, żeby im wszystko wyśpiewała.

- Szefie, jest pan mądrym człowiekiem.

- Szef musi być mądry - zgodził się Khong. - Inaczej nie mógłby być szefem. To dobrze, że rozumiesz, Tay. Każdy człowiek powinien wiedzieć, gdzie jest jego miejsce. Gdyby Ky wiedział, nie musiałbym go zabić.

Khong ucieszył się, widząc cień przerażenia, jaki na chwilę przebiegł przez twarz Noha. Potem popatrzył na kobietę. Mimo, że nie rozumiała, o czym mówili, najwyraźniej też się bała. Zadowolonym wzrokiem mierzył jej ciało: zaokrąglone biodra i wystające piersi. Do tej pory nie zbliżył się do niej, bo im dłużej zwlekał, tym bardziej bała się ofiara i tym bardziej go podniecała.

Ale już niedługo...

W obozie panowała cisza. Ludzie Noha byli zmęczeni walką i zabijaniem.

Tego wieczora Khong miał zamiar wysłać Tay do Sajgonu z kopertą zaadresowaną do komendanta bazy w Lai Khe. W środku będzie tylko zdjęcie. Odczeka dzień lub dwa nim zatelefonuje z żądaniem okupu. Zastanawiał się, w jaki sposób i czy w ogóle podzielić się pieniędzmi z członkami bandy. Kto wie, czy nie byłoby najlepiej zabrać pieniądze i zacząć od nowa gdzie indziej. Mógłby z łatwością namówić Tay, by pomógł mu zabić pozostałych - wystarczy kilka celnych serii od tyłu, a potem on sam zabije Tay. Wtedy dziesięć tysięcy dolarów przypadnie jemu samemu w udziale. W tych stronach świata taka suma czyniła z człowieka króla.

Prawdziwa władza, pomyślał Khong...

Snucie planów przerwał mu jakiś hałas dochodzący z zewnątrz. Rozpoznał szorstkie głosy swoich ludzi, lecz jednego nie był w stanie skojarzyć z osobą.

- Tay, zobacz, kto to jest.

Tay miał właśnie wyjść na zewnątrz, by wykonać polecenie, lecz nim zdążył się poruszyć, poła namiotu odchyliła się i do środka weszło dwóch mężczyzn. Z tyłu namiotu stała trzecia sylwetka, mierząc z karabinu do jego ludzi.

To nie byli Amerykanie! Nosili czarne mundury Wietkongu, a głos, który Khong usłyszał wcześniej, należał do kapitana Quanga.

Quang spojrział prosto w oczy Khonga, lecz przemówił najpierw do żołnierza trzymającego karabin:

- Uważaj na nich, Vien. Jakby próbowali jakichś sztuczek, strzelaj bez wahania.

- Rozkaz - odparł słuźbiście Vien.

Khong poczuł, jak zasycha mu w gardle, ale nie czuł strachu. Całe życie spędził przecież w walce z innymi.

- Co pan tu robi, kapitanie Quang?

- Więc znasz mnie. Dobrze, oszczędzi nam to cennego czasu.

Quang spojrział na Ann. Bez współczucia, przyjmował tylko do wiadomości jej obecność.

- Przychodzę po tę kobietę.

Khong ruszył do przodu, próbując złapać Quanga za gardło, ale wymierzona weń lufa karabinu zatrzymała go i rozjaśniła nieco myśli. Cofnął się i opuścił dłoń.

- Nie rozumiem, kapitanie. Jakże może mieć dla pana znaczenie?

- Nie wasz interes. Potrzebuję jej. Jeżeli chcecie się przeciwstawić, zginiecie wszyscy - powiedział Quang tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Kapitanie Quang, czy tak się pan odwdzięcza za wyświadczone usługi? Ma pan

wysokie stanowisko w Wietkongu, powinien pan być wdzięczny za to, co dzisiaj zrobiliśmy w wiosce.

- Nie mam nic przeciwko śmierci Amerykanów - powiedział Quang - ani spacyfikowaniu wioski, która była do nich przyjaźnie nastawiona.

- Więc dlaczego...

- Potrzebuję tej kobiety i zamierzam ją stąd zabrać.

Quang wyciągnął z pochwy amerykański nóż wojskowy i pochylił się do przodu z zamiarem przecięcia więzów krępujących Ann.

Khong błyskawicznie skalkulował. Nie uśmiechało mu się stracić pieniędzy, których ucieleśnieniem była kobieta, musiał więc zaryzykować.

- Stój! - krzyknął.

Quang spojrzał na Khonga z zaciekawieniem.

- Co powiedziałeś?

- Nie jesteś mężczyzną - powiedział Khong. - Jesteś tchórzem, kapitanie Quang. Pozwoliłeś, żeby inni odwalili za ciebie brudną robotę. Boisz się walczyć ze mną o tę kobietę.

- Nie boję się nikogo.

Khong wskazał gestem na nóż, który Quang trzymał w ręce.

- Lubisz noże? To dobrze, bo ja też.

Sięgnął za plecy i wyciągnął nóż bardzo podobny do broni Quanga.

- Ośmielisz się walczyć przeciwko mnie na śmierć o kobietę, czy mam rację nazywając cię tchórzem?

Vien czekał na instrukcje od swego dowódcy. Quang skinął głową i Vien wyszedł z namiotu.

Khong kazał wyjść Tayowi i patrzył na Quanga stojąc po drugiej stronie związanej kobiety.

- Słyszałem, że twój syn wczoraj zginął - drażnił go Khong, wykonując nieznaczne koliste ruchy nożem. - Zabiję cię teraz i niech zdycha z wami jeszcze jedna rodzina tchórzów w tym kraju!

- Ty psie! - wybuchnął Quang. - Jak śmiesz obrażać pamięć mego syna bohatera i mojej rodziny! Zginiesz!

Skoczył do przodu mierząc w serce Khonga. Ten odbił uderzenie wyprostowaną lewą ręką, dłonią złapał za nadgarstek, a prawą ciął w okolicach gardła kapitana.

Walczyli tak przez minutę. Jedyнным dźwiękiem dochodzącym z namiotu było ciężkie sapanie.

Nagle Khong niespodziewanie kopnął Quanga. Zaskoczony kapitan upadł, lecz starczyło mu na tyle przytomności umysłu, by pociągnąć Khonga za sobą. Zakleszczyli się na chwilę w morderczym uścisku, próbując opanować ruchy noża przeciwnika. W pewnej chwili Quangowi udało się znaleźć na grzbiecie Khonga. Wykrzywione wściekłością twarze omal się nie dotykały.

- Jesteś dzikim bandziorem - wysyczał Quang. - Ja jestem żołnierzem, taka jest różnica między nami. Ja walczę za mój kraj, za rodzinę. Poddaj się, Khong, koniec z tobą.

- Nigdy! - ryknął Khong. Z nowym przyplływem sił zrzucił z siebie Quanga.

Walka trwała, lecz obaj wiedzieli, że nie potrwa zbyt długo, że jeden z nich popełni śmiertelny błąd.

Ann Bradley, nie mogąc się podnieść, patrzyła na nich pustymi oczyma.

Gaines prowadził, więc jako pierwszy usłyszał szmer głosów przed sobą.

Od dłuższego czasu znajdowali się w dusznym, wilgotnym uścisku dżungli. Oślepiająca swą różnorodnością zieleń, półmrok i kakofonia odgłosów zwierząt i ptaków wpływały otepiająco na zmysły. Prócz śladów pozostawionych przez bandytów, wokół nich nie było ani śladu istoty ludzkiej.

Zaczęli idąc pod górę, ale gdy doszli do ruin budowli, która kiedyś służyła jako świątynia, jak jeden mąż przypadli do ziemi.

Gaines naliczył pięciu mężczyzn w pośpiechu zwijających obóz. Strzępy rozmów docierające do nich świadczyły, że wzajemnie się ze sobą nie zgadzali. Ich strój i uzbrojenie nie pozostawiały żadnych wątpliwości - byli to bandyci.

Wokół stojącego w środku obozu namiotu nie było śladów żywej istoty. Gdzie jest ich przywódca? Gdzie Ann? Czy są razem? Pytania jedno za drugim kołatały w głowie Gainesa. Jeżeli są w namiocie, dlaczego nie wychodzą?

Pięciu bandytów. A chłopak naliczył w wiosce ośmiu...

Gaines wzdrygnął się. Obejrzał się w chwili, gdy zza drzew wynurzyła się za ich plecami sylwetka człowieka. Bez wątpienia celowała do nich z karabinu.

- Z tyłu! - rzucił Gaines. - Padnij!

Hidalgo i DeLuca nie tracili czasu, by przekonać się o tym na własne oczy i bez wahania przypadli do ziemi.

Z karabinu napastnika poszła długa seria. Kule zaszeleściły wśród liści nie całe pół metra nad ich głowami, a kilka z nich wpadło nawet w obręb obozowiska bandytów.

Gaines strzelił tylko raz ze swego M-16 i po gwałtownym wybuchu czerwieni,

napastnik zwał się bezwładnie do tyłu.

DeLuca zachichotał.

- Prosto w głowę. Nie marnujesz kul.

Od strony obozu nadleciały pociski. Bandyci nie mierzyli dobrze, próbując się ukryć w ruinach świątyni.

Trzej Amerykanie otworzyli ogień i para strzelających bandytów nakryła się nogami. W ułamek sekundy później Gaines starał się jedną serią skosić pozostałych, ale nie zdążył. Bandyci znów otworzyli ogień, który wcisnął oddział Gainesa w wilgotne podłoże dżungli.

- Starajcie się ich tam zatrzymać. - powiedział Gaines. - Ja ich zajdę z boku.

- Ty zawsze bierzesz sobie najlepsze kaski - poskarżył się Hidalgo.

Gdy bandyci przerwali ogień, DeLuca i Hidalgo natychmiast nacisnęli spusty. Tymczasem Gaines zbliżał się szybkim krokiem do miejsca, które dawało mu otwartą linię ognia na bandytów. Wtedy dostrzegli go i zaczęli strzelać, ale nie trafili. Gaines zasypał ich gradem kul, które rozpruły ich na strzępy, pokrywając czerwienią ruiny świątyni. Cholera! Chciał ich dostać żywych!

Na polanie zaległa cisza. Przez całą minutę oddział pozostawał na swych pozycjach nie mówiąc ani słowa, by nie ściągnąć na siebie ognia ukrytego strzelca. Do pełnego rachunku brakowało dwóch bandytów.

Gaines zniecierpliwiał się.

- Idę się rozejrzeć - zawołał do kolegów.

- Ubezpieczamy cię - nadeszła odpowiedź DeLuki. - Trzymaj się.

Gaines wyszedł z ukrycia, a gdy znajdował się w połowie drogi do ruin, z ziemi poderwał się na równe nogi młody chłopak i zaczął uciekać na oślep.

Tay myślał tylko o ucieczce.

Wszystko stało się tak nagle. Najpierw kapitan Quang i jego ludzie, a potem ten atak! Tay zabił w swoim życiu wiele kobiet i dzieci, ale teraz nie miał ochoty walczyć.

Amerykanie nie strzelają w plecy, pocieszał się. Popędzany tą myślą biegł tak szybko, jak tylko mogły unieść go nogi. Uda mi się!

Gaines strzelił z biodra i roztrzaskał biegnącemu kolano. Bandyta poleciał przed siebie jak łyżwiarz, któremu nagle zabrakło oparcia, i natychmiast zaczął krzyczeć.

Amerykanin stanął nad nim. Chłopak wiał się na ziemi z bólu, próbując na oślep chwycić bolącą nogę, która poniżej kolana była bezkształtną mieszaniną żył, krwi i strzępów kości. Gaines dotknął go lufą karabinu, lecz bandyta nie zwracał na to uwagi. Trzeba było najpierw pomóc mu się skoncentrować.

Gaines kopnął go w głowę. Bandyta krzychał nadal, więc porucznik powtórzył. Kopnięcie nie było na tyle silne, by zmiądzzyć mu czaszkę czy ogłuszyć, ale tym razem wystarczyło.

Chłopak przestał wrzeszczeć. Szklistymi oczyma wpatrywał się w Gainesa i w lufę M-16 opartą na jego czole. Z trzęsących się ust wydobywały się co jakiś czas nieśmiałe jęki.

- Gdzie jest kobieta? - spytał Gaines w miejscowym narzeczu. Gadaj!

- Kapitan Quang... - bandyta zdołał wykrztusić, spoglądając trwożnie na namiot rozbity nie opodal. Po chwili, ogarnięty nową falą bólu, zaczął krzyczeć.

Przed oczami Gainesa stanął obraz masakry w Hoa Phu.

- Do zobaczenia w piekle, gówniarzu.

Kula z M-16 zamieniła głowę bandyty w mokrą plamę na ziemi. Gaines odwrócił się i poszedł w kierunku namiotu, siłą powstrzymując się od biegu. Zdał sobie sprawę, że jest bardziej zdenerwowany, niż powinien. Masakra, Ann w rękach wroga... Powtarzał sobie, że nie uratuje Ann, gdy zabraknie mu zimnej krwi.

Hidalgo i DeLuca wyszli z ukrycia. Skinęli głowami, rozumiejąc instrukcje Gainesa.

DeLuca stanął z boku polany ubezpieczając pozostałych. Hidalgo podszedł do namiotu z jednej strony, Gaines z drugiej. Na dany znak, obaj odwinęli poły namiotu i cofnęli się, by nie narazić się na kule. Po chwili zagłębili do środka.

Gdy zobaczyli ciało, opuścili broń. Nieżywy mężczyzna, jak na Wietnamczyka, miał pokązną posturę. Leżał na plecach z nożem zagłębionym po rękojęść w sercu.

Gaines wszedł do środka, Hidalgo został na miejscu.

- Kto to, do jasnej cholery? - krzyknął DeLuca.

- Nazywał się Khong Noh - powiedział Gaines. - Był poszukiwany przez nas jako bandyta w całej prowincji.

- Co z Ann? - spytał Hidalgo.

Gaines schylił się i podniósł kawałek sznurka leżącego po drugiej stronie namiotu i wyszedł na zewnątrz.

- Khong wziął ją do niewoli, ale nie wiadomo skąd wziął się Quang i mu ją odebrał, przynajmniej tak mogę się domyślać z tego, co mi powiedział bandyta, zanim go nie wykończyłem. Wydaje mi się, że walczyli ze sobą. Kiedy Khong zginął, jego ludziom brakło odwagi, pozwolili Quangowi zabrać ją bez walki i mieli sami stąd pryskać, kiedy myśmy nadeszli.

- Więc Quang żyje - powiedział Hidalgo. - I Ann też.

- Ale gdzie się mogli podziać, do diabła? - Hidalgo nie poddawał się, patrząc na

otaczającą ich ścianę dżungli. - Ani śladu po nich.

- Trudno się dziwić - przyznał Gaines. - Quang pokonał Khonga, bo po prostu był lepszy. Zna dżunglę na tyle, by nie zostawić żadnych śladów.

- Więc muszą tu gdzieś być - zdecydował Hidalgo. - A my nie mamy zielonego pojęcia gdzie. Niech to jasny szlag trafi.

- Wiemy, co Quang do ciebie czuje, poruczniku - powiedział DeLuca - dlatego lepiej byłoby znaleźć ją szybko. Jak się dowie, że jest twoją dziewczyną...

Gaines spojrzał po raz ostatni na ruiny i ciała zabitych.

- Jesteśmy w ślepym zaułku. Nic tu nie zdziałamy, pora wracać do bazy.

Na strychu starego baraku było niesłychanie gorąco.

Kapitan Quang zamachnął się. Ann widziała nadchodzący cios, lecz nie miała siły uchylić się przed nim. Wierch dłoni Wietnamczyka trafił ją prosto w twarz z taką siłą, że spadła ze skrzyni, na której siedziała. Kapitan zadawał jej pytania, a mężczyzna, którego nazywał Vien, przyglądał się.

- Powiesz mi wszystko, czego będę chciał, siostró Bradley. - Stał nad nią i patrzył wzrokiem pełnym pogardy. - Albo zginiesz.

Po raz pierwszy zwrócił się do niej po nazwisku. Przyjrzał się jej tabliczce identyfikacyjnej, potem zerwał ją z jej szyi i odrzucił na bok. Potem pokazał jej mapę. Nie chciała na nią spojrzeć, więc ją uderzył. Jego oczy błyszczały jak oczy szaleńca.

Spojrzała na Viena. Wyglądał na człowieka, który potrafi wszystko poświęcić dla sprawy. Ten też pewno oszalał, pomyślała, lecz najgorszego spodziewała się ze strony Quanga.

- I tak mnie zabijesz, kapitanie Quang.

- Aha, już mnie znasz.

Skinęła głową. Poznała Quanga od razu. Był dowódcą lokalnych oddziałów Wietkongu, więc jego zdjęcie znał na pamięć każdy żołnierz. Od chwili, gdy pojawił się w obozie bandytów, wiedziała, że nie czeka ją nic dobrego. W czasie szybkiego marszu przez dżunglę całkowicie odzyskała przytomność. Prowadziło ją dwóch żołnierzy. Nawet gdy zaplątała nogę w pnącza i potknęła się, nie zareagowali i wlekli ją przez jakiś czas, nim nie odzyskała równowagi.

Po jakimś czasie znaleźli się w starym baraku, który kiedyś służył za magazyn kauczuku. Przed wejściem czekała mała grupa uzbrojonych młodych mężczyzn i kobiet, mniej więcej w wieku Viena. Byli ciekawi jej widoku, lecz Vien kazał im się przenieść na drugi koniec baraku. Potem we trójkę weszli na gorący, duszny strych i zaczęło się przesłuchanie.

- Tak, i wiem co się stało z twoim oddziałem. Wiem też, że zginął twój syn.

Wzdrygnął się, jakby dotknęła otwartej rany.

- Więc może lepiej zrozumiesz swoje położenie, gdy ci powiem, co ja wiem o tobie.

Jesteś kochanką Scotta Gainesa.

- Nigdy nie byliśmy kochankami, po prostu umówiliśmy się na kolację - próbowała opanować wzruszenie. - A co Scott Gaines ma do tego?

- Wszystko. Nie próbuj udawać, dobrze wiesz, że jego oddział odpowiada za zniszczenie tuneli, śmierć moich żołnierzy i syna.

- Porucznik Gaines wykonywał rozkazy swojego przełożonego - powiedziała. - Tak czy tak, nic o tym nie wiem.

- Twoje kłamstwa sprowadzą na ciebie tylko ból. Są sposoby, żeby cię zmusić do mówienia, a kobiety nie są w stanie zbyt długo wytrzymać bólu. Radziłbym ci, żebyś się zdecydowała na współpracę.

Zauważyła, że gdy Quang wspomniał o torturach, Viena jakby coś tknęło. Patrzył prosto przed siebie unikając jej oczu.

- Nie pomogę wam - powiedziała Quangowi.

- Pomożesz. Bez względu na to, czy chcesz czy nie - stanął na wprost niej. - Daję ci ostatnią szansę uniknięcia cierpienia. Powiedz mi, gdzie jest Gaines.

Rzucił jej w twarz kawałek papieru. Kątem oka dostrzegła, że jest to dokładny plan bazy w Lai Khe.

- Nic wam nie powiem.

Quanga ogarnęła wściekłość. Nie zauważyła nadchodzącego uderzenia, które powaliło ją na ziemię. Trafiło w miejsce, gdzie dostała kolbę karabinu. Próbowała walczyć z ogarniającą ją falą nudności. Pulsujący ból stawał się coraz bardziej dokuczliwy, lecz starała się nie stracić przytomności.

Nie poruszyła się, więc Quang podszedł bliżej i przewrócił ją na plecy. Miała zamknięte oczy i oddychała głęboko.

Quang wyprostował się i wraz z Vienem rozpoczęli dyskusję na jakiś temat. Nie rozumiała tego, co mówią, lecz mogło to mieć coś wspólnego z nią.

Vien, jak tylko mógł, starał się opóźnić nadchodzącą konfrontację z kapitanem, ale wiedział, że w sprawie tej kobiety nie może bez zastrzeżeń słuchać Quanga.

Kapitan zaczął.

- Obudź ją i przyciśnij trochę. Chcę, żeby nam powiedziała, gdzie Gaines może być dziś w nocy, kiedy zaatakujemy.

Vien odchrząknął i spojrzał mu w oczy.

- Z całym szacunkiem, panie kapitanie, ale nie mogę wykonać pańskich rozkazów.

Quang spojrzał na niego przenikliwie.

- Czy dobrze cię słyszę, Vien? Masz obudzić tę kobietę i wyciągnąć od niej, co wie.
- Nie będę brał udziału w torturach.
- Gdy poszliśmy do obozu Khonga, wiedziałeś, że będziemy ją przesłuchiwać.
- Nic pan nie mówił o torturach. To przecież kobieta.
- Tak samo jak nasi najzdolniejsi żołnierze - warknął Quang. - Co to ma za znaczenie?
- Jest Amerykanką, więc myślałem, że łatwo da się zastraszyć i zacznie mówić. Nie przypuszczałem, że sprawy zajdą aż tak daleko.

Quang uśmiechnął się zagadkowo.

- A gdy szlachetne ideały rewolucjonisty staną w konfrontacji z rzeczywistością, rewolucjonista zawodzi, bo jest tylko małym chłopcem, który chce się bawić. I nie ma dla niego miejsca w prawdziwym świecie poświęcenia i walki.

- Moja grupa i ja jesteśmy przygotowani na największe poświęcenie, gdy dziś zaatakujemy bazę - sprzeciwił się Vien. - Oddamy życie, by wygnać z naszego kraju imperialistycznych najeźdźców, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Jesteśmy gotowi do poświęceń i proszę tego nie kwestionować.

- Nie sądziłem, że okażesz się niezdyscyplinowany, Vien.

- Przykro mi, kapitanie, ale stanowczo sprzeciwiam się torturom.

- Śmiesz mi się przeciwstawiać...

- Ta kobieta jest pielęgniarką, panie kapitanie. Nie bierze udziału w walkach. Nie chciałbym pana obrazić, ale nie zamierzam zostać oprawcą kobiet.

Przez kilka minut Quang zastanawiał się, co robić. Vien nie miał wątpliwości co do tego, o czym myśli. Z pewnością rozważał sprawę pozostałych członków oddziału, na których posłuszeństwo liczył dziś w nocy.

Quang uspokoił się.

- Dobrze, Vien. Może masz rację. Przesłuchamy ją później, a teraz chodźmy odpocząć.

Kapitan zszedł ze strychu i zostawił go samego z nieprzytomną kobietą. Vien odetchnął z ulgą. Był zadowolony, że ta konfrontacja nie przerodziła się w coś poważniejszego, ale pewne wątpliwości pozostawały. Czy przypadkiem kapitan Quang nie próbował ich wykorzystać w swojej osobistej rozgrywce ze Scottem Gainesem?

Quang powiedział Vienowi, że chce znać rozmieszczenie oddziałów w bazie, lecz gdy przyszło do zadawania pytań, Quanga interesował jedynie człowiek, który według niego odpowiadał za śmierć jego syna.

Vien znał plany akcji. Oczekiwał, że do walki poprowadzi ich syn Quanga, więc po

jego śmierci ucieszył się, że to właśnie ojciec przeprowadzi plan syna. Właściwie wykonany atak mógł spowodować w bazie wielkie zniszczenia.

Nienawidził Amerykanów, ale zależało mu na kolegach, którzy wraz z nim przyszli na tę akcję. Miał zamiar śledzić poczynania kapitana i zareagować, gdyby jego obsesja na punkcie Gainesa miała zagrozić ich życiu.

Zszedł na dół, znikając z pola widzenia Ann, która przez cały czas obserwowała go przez półprzymknięte powieki.

Nie wiedziała, dlaczego Vien stanął w jej obronie. Wyglądał na ulepionego z innej gliny niż Quang. Kapitan był twardym żołnierzem, który najprawdopodobniej myślał o swej obsesji w kategoriach wojskowych. Cel uświęca środki, nie wyłączając tortur i masowych mordów dokonywanych na niewinnych ludziach. Znała wielu Amerykanów, którzy zgodziliby się z takim postawieniem sprawy.

Teraz tylko dwie sprawy zaprzętały jej myśli. Po pierwsze, Quang miał zamiar zaatakować bazę w Lai Khe. Po drugie, musiała stąd jak najprędzej uciekać.

Niedaleko miejsca, gdzie leżała, znajdowało się małe kwadratowe okienko. Quang z pewnością postawił na dole jakiegoś strażnika, by ten przywołał go natychmiast, jak tylko odzyska przytomność.

Musiała uciec! Wrócić do bazy i ostrzec wszystkich przed zbliżającym się atakiem.

Fakt, że Quang zgromadził żołnierzy na opuszczonej plantacji wskazywał na to, że atak ma nastąpić tej nocy. Dowodził batalionem żołnierzy rozlokowanym w tunelach, więc dzisiejsza operacja też zacznie się przez tunel. Mapa bazy, zaangażowanie Quanga i uzbrojeni ludzie... Nie było innego wytłumaczenia.

Scott Gaines miał być celem ataku. Bez względu na to, co Quang zamierzał zrobić tej nocy, musi zabić Scotta lub sama zginie, tego była pewna.

Podczołgała się ostrożnie nad krawędź strychu i spojrzała w dół. Pozostałej części oddziału najwidoczniej pozwolono wrócić do środka. Część z nich rozmawiała półgłosem, inni spali. Nie zauważyła Quanga ani Viena.

Przy drabinie stał oczywiście strażnik, ale nie miał chyba rozkazu sprawdzać, co się z nią dzieje, bo chodził tam i z powrotem nie spoglądając nawet do góry.

Jak potrafiła najciszej, przysunęła się do okna. Zakłęła pod nosem, bo ujrzała coś, co do tej pory zasłaniała jej gra cieni. Okno było zamknięte na kłódkę. Nie da rady go otworzyć.

Zrezygnowana oparła się o ścianę i usiadła na podłodze. Zawód przejął ją do głębi. Musiała przecież jakoś się stąd wydostać. Kłopot w tym, że nie wiedziała jak.

Ściemniało się dosyć wcześnie. Masa burzowych chmur zmieniała powoli kolor na popielatogranatowy. Ani na chwilę nie przestawało grzmieć. Powietrze było pełne wilgoci, lecz deszcz nie zaczynał padać.

Gdy Gaines z oddziałem wrócili do Hoa Phu, czekał już na nich helikopter. Po wylądowaniu w bazie natychmiast zameldowali się w bunkrze kapitana Cartera.

Gaines martwił się. Niepokój o Ann dawał mu się we znaki już w dżungli, lecz teraz, gdy nie mieli nic do roboty, groził, że zmieni się w szaleństwo.

Carter czekał na nich sam z zatroskaniem malującym się na twarzy.

Gaines natychmiast zapytał:

- Thu nie wrócił jeszcze z Sajgonu?

- Nie - Carter zaprzeczył ruchem głowy.

- Wróci przed zmierzchem, jak obiecał - pocieszał ich Hidalgo.

- Nie martw się - dodał DeLuca. - Wróci z wiadomościami o Quang.

- Niepokoję się. Zanim nie wróci, nie możemy nic zrobić w sprawie Quanga. Wiemy, że żyje, nie wiemy tylko, gdzie się ukrywa i gdzie przetrzymuje Ann - powiedział Gaines.

- Coś wisi w powietrzu - zauważył Hidalgo. - i nie jest to tylko deszcz.

- I coś tu nie gra - zastanawiał się na głos DeLuca. - Po jaką cholerę Quang wybierał się do obozu bandytów i zabijał ich szefa? Przecież nie obchodzi go, co robił z jeńcami. Cieszyłyby się tylko, że kilku więcej z ich wspólnych wrogów zginęło.

- Quang chce się od niej czegoś dowiedzieć - zawyrokował Gaines. - To jedyna możliwość. Macie rację, inaczej coś tu nie gra.

- Co jeszcze wiemy? - zapytał Carter. - Musimy sobie jakoś poradzić.

- Wydaje mi się, że wszystko w jakiś sposób łączy się z kradzieżą amunicji i sprzętu - dodał Gaines.

- Szpieg w naszych szeregach - zgodził się Carter.

- Jeżeli Quang ma wśród nas swojego człowieka, ten właśnie człowiek może nam powiedzieć, gdzie powinniśmy szukać kapitana, a wtedy będziemy wiedzieć, gdzie jest Ann - ciągnął Gaines.

- Sam pan mówił, kapitanie, że znikająca amunicja to tylko wierzchołek góry lodowej

- przypomniał DeLuca.

- W dodatku ten facet nie może być zwykłą płótką, inaczej nie miałby dostępu do wielu informacji - wtrącił Hidalgo.

- Jeszcze nie dostaliśmy informacji z centrali o majorze Dow i Xongu - powiedział Carter.

- Mnie się oni od początku nie podobali - pokręcił głową Hidalgo.

- Ani mnie - zawtórował DeLuca.

- Kapitanie, a może by tak zaprosić majora na małą pogawędkę - zaproponował Gaines. - Niech przyjdzie sam, bez Xonga.

- To da się zrobić - zgodził się Carter i sięgnął po słuchawkę.

Za chwilę zgłosił się major Dow.

Zgodnie z prośbą Cartera, przyszedł sam. Gaines wyczuł, że oficer czuje się niepewnie, choć stara się ze wszystkich sił nie dać tego poznać po sobie.

- Panowie - przywitał ich sztywno. - Pozwólcie, że wyrażę swoje współczucie z powodu waszych kolegów, zabitych w Hoa Phu. Armia Republiki Wietnamu podejmie wszelkie...

- Bardziej interesowałoby nas - przerwał mu Carter - co zrobiliście w sprawie włamań do magazynów.

- Tak, znowu szpiedzy - powiedział Dow. - Czy mogę zapytać, dlaczego nie chcieliście, żebym przyszedł tu razem z porucznikiem Xongiem?

- Niech pan nie udaje Greka - nie wytrzymał Hidalgo. - Chcemy jasnej odpowiedzi.

- Greka? - Dow wyglądał na zaskoczonego.

- Mówi, że nie odpowiada pan na pytania - wyjaśnił Gaines. - Proszę nam powiedzieć, co do tej pory ustaliliście.

Dow westchnął.

- Wiecie panowie, że na czele śledztwa postawiłem porucznika Xonga.

- Dlatego właśnie nie chcieliśmy, by tu przyszedł. - powiedział Carter. - I jeszcze z kilku innych powodów.

- Ktoś tu mówił, że jest najlepszym człowiekiem do takich zadań - przypomniał Gaines.

- Popełniłem błąd, panowie. Gdy porucznik Xong powiedział mi, że cały dzień spędził na śledztwie i niczego się nie dowiedział, wzbudziło to moje podejrzenia. Widzicie panowie, mnie się też wydaje, że jest wśród nas szpieg i że jest to porucznik Xong.

- Dlaczego? - zapytał Gaines.

- Kazałem go sprawdzić - powiedział Dow. - Dwa razy wychodził z bazy. Okłamał mnie. To nie jest dowód, ale uważam, że powinien zostać przesłuchany.

- Nie spieszył się pan z tą wiadomością - zauważył Carter.

- Przyszedłem zaraz, jak tylko zostałem wezwany, panie kapitanie.

- O to właśnie chodzi - powiedział DeLuca. - Trzeba było pana wzywać.

- Jeżeli to prawda, uważam zdradę Xonga za osobistą porażkę - powiedział ze smutkiem Dow.

- Poza tym dziwna śmierć Phama - przypomniał Hidalgo. - Jeżeli Xong jest na liście płac Wietkongu, Pham nie popełnił samobójstwa.

- Czy mogę zapytać dlaczego wy, panowie, uważacie, że Xong jest szpiegiem?

- Quang musiał mieć swego człowieka w dowództwie - wytłumaczył Gaines. - Pan, porucznik Xong i kilku innych - to właśnie dowództwo.

- Więc mnie też podejrzewacie, że jestem szpiegiem? - Dow nie posiadał się ze zdumienia.

Gaines wstał.

- Odszukajmy Xonga. Musimy z nim porozmawiać.

Nie miał zamiaru opowiadać majorowi o tym, co zaszło po ataku bandytów na Hoa Phu.

- Dobrze - powiedział Dow. - Widzę, że muszę wam dowieść swojej lojalności. Wolałbym, żebyście mnie traktowali jak żołnierza, jak przyjaciela, ale udowodnię wam, po czyjej jestem stronie. Osobiście wezmę udział w schwytaniu i przesłuchiowaniu porucznika Xonga.

Gaines nie wytrzymał.

- Niech pan zachowa dla innych gładkie słówka, majorze. Pomoże nam pan go złapać, a my go już sobie przesłuchamy.

- Jak chcecie.

- Gdzie on jest?

- Chodźcie, zaprowadzę was do niego.

Gaines spojrzał na Cartera, który kiwnął głową przyzwalająco.

Wyszli z namiotu we czwórkę: Gaines i Dow z przodu, za nimi Hidalgo i DeLuca. Zdecydowanym krokiem zmierzali w stronę bunkra dowodzenia armii wietnamskiej.

Po drodze Dow powiedział:

- Dowiedzieliśmy się, że wśród ludności cywilnej krążą plotki o tym, że kapitan Quang przeżył.

- My też już o tym wiemy - machnął ręką Gaines.

- To właśnie Xong zwrócił na to naszą uwagę. Czy zrobiłby to, gdyby był szpiegiem?

- Oczywiście - rzucił DeLuca z tyłu. - Wiedzieli, że prędzej czy później wszystko się wyda.

- Xong powiedział nam o tym, żeby zrzucić z siebie podejrzenia - zgodził się Hidalgo.

Dow ruchem głowy wskazał na bunkier dowodzenia, do którego zbliżali się szybkim krokiem.

- Tu właśnie znajdziemy porucznika Xonga, jeżeli nie przyszło mu do głowy gdzieś wyjść.

- Jak to rozgrywamy, poruczniku? - zapytał DeLuca.

- Spokojnie - powiedział Gaines. - Zajdziecie z dwóch stron bunkra i wkroczycie do akcji, jakby chciał uciec. Major i ja wchodzimy do środka. Pamiętajcie, że mamy do niego parę pytań i bierzemy go żywego.

Hidalgo i DeLuca udawali się właśnie na swoje pozycje, gdy z bunkra wyszedł Xong. Zobaczył nadchodzącą czwórkę i zorientował się, że idą po niego. Przez moment przypominał Gainesowi osaczone zwierzę, a w chwilę później już biegł na złamanie karku.

Żołnierze ruszyli za nim. Gaines i Dow odbezpieczyli pistolety.

Xong wybrał zły kierunek ucieczki, znalazł się bowiem w ślepych zaułku, gdzie zbiegały się trzy bunkry. Zdawszy sobie z tego sprawę, odwrócił się twarzą w kierunku ścigających i wyjął broń.

Gaines zaczął krzyżeć w jego stronę, żeby się zatrzymał, że nie mają zamiaru go zabić, lecz przerwało mu krótkie szczeknięcie pistoletu majora Dow.

Xong jęknął z bólu i upadł twarzą do ziemi. Nie ruszał się.

Gaines myślał, że udusi majora gołymi rękami. Strzał wywołał w bazie poruszenie. Zewsząd nadbiegali żołnierze wietnamscy i amerykańscy chcąc się dowiedzieć, co się stało.

Hidalgo i DeLuca opuścili broń i podeszli do nieżyjącego.

- Mówiłem panu, majorze, że chcemy go żywego - powiedział Gaines.

- Ale właśnie w nas wycelował - nie chciałem, żeby się komuś coś stało...

Hidalgo i DeLuca podeszli do nich.

- Zabity na amen - oznajmił DeLuca.

- Dostał między oczy - uzupełnił Hidalgo. - Dobrze pan strzela, majorze.

- Niech pan stąd idzie, majorze - powiedział Gaines ledwo opanowując złość. - Niech pan stąd idzie, do jasnej cholery.

- Przykro mi - tłumaczył się Dow. - Nie zdawałem sobie sprawy...

- Zabieraj się stąd!

Tym razem Wietnamczyk wyczuł groźbę kryjącą się za słowami Gainesa.

- Tak... przykro mi, chciałem tylko pomóc... - powiedział cicho skruszonym tonem.

Nagle odwrócił się i odszedł.

Gaines spoglądał za nim i uspokoił się trochę, przypomniawszy sobie, że nie może pozwolić sobie na takie uczucia, gdy życie Ann wisi na włosku.

Ann. Właśnie stracili ostatnią nitkę, prowadzącą do kapitana Quanga...

Sprawą porucznika Xonga zajęła się natychmiast policja wojskowa Armii Republiki Wietnamu. Gdy wrócili do bunkra Cartera, kapitan czekał już na nich, a u jego boku stał Thu. Żołnierze wymienili powitalne gesty, po czym Gaines pokrótce zdał sprawę Carterowi z tego, co zaszło.

Carter zmarszczył brwi.

- Mógłbym zażądać, żeby go zatrzymali i przekazali nam.

- Myślałem o tym - powiedział Gaines. Nie zgodzą się na to bez jakiegoś dowodu, a my nie mamy nic.

- Zawsze możemy się sami do niego zabrać - zaproponował DeLuca. - Trochę perswazji, i jeśli wie coś o Quangu, wyśpiewa nam wszystko.

- Jeżeli rzeczywiście jest szpiegiem, stoi za wysoko, żeby kontaktować się bezpośrednio z Quangiem - zauważył Gaines. - Chyba nawet nie wie, gdzie jest, żeby było bezpieczniej. Kontaktowali się przez Xonga. A na dodatek, możemy się mylić.

- Więc posłuchajcie, czego Thu dowiedział się w Sajgonie - przerwał Carter. - Szykuje się coś nowego.

- Ngai Quang żyje - zaczął Thu. - Teraz oczywiście już o tym wiecie, po masakrze w Hoa Phu. Ale naślął też na ciebie morderców.

- Przynajmniej to możemy określić - mruknął Gaines. - Gdzie się ten drań ukrywa?

- Nie wiadomo dokładnie, ale poczekaj, aż usłyszysz resztę - wtrącił Carter.

- Po drodze do autobusu, którym chciałem wrócić do bazy - ciągnął Thu - zauważyłem kobietę, która kiedyś była moim informatorem. Nigdy nie powiedziała mi nic szczególnego, ale miała swoje powody. Jej mężem jest student o dość radykalnych poglądach, na imię ma Vien. Od czasu do czasu coś powie, bo chce, żebyśmy dostali w swoje ręce tych, którzy ciągle zabierają jej męża na jakieś akcje, po prostu chce mieć męża przy sobie. Tak jak ma być w rodzinie.

- Nigdy nie zagrzałem zbyt długo miejsca w domu, kiedy byłem żonaty - zachichotał DeLuca.

- Dlatego właśnie płacisz alimenty - skontrował Hidalgo.

- Dajcie sobie siana, chłopaki - powiedział Gaines. - I co ci powiedziała ta kobieta?

- Była przygnębiona, bo mąż powiedział jej, że nie wróci na noc do domu, że może w ogóle nie wrócić, bo zginie za sprawę. Powiedział, że kapitan Quang wyznaczył go do poprowadzenia ataku na bazę. Nie chciała powiedzieć tego Amerykanom, ale nie chce, żeby jej mąż zginął. Wytłumaczyłem jej, że jeśli atak dojdzie do skutku, zginie wielu niewinnych ludzi, że Viena i Quanga trzeba powstrzymać. Obiecałem jej zatroszczyć się o to, by jej mężowi nic się nie stało. Opowiedziała mi o wszystkim, ale nie wiedziała, gdzie mają zgrupowanie.

- Już zarządziliśmy specjalne środki bezpieczeństwa. - powiedział Carter. - Miałeś rację w tym, że szykuje się coś poważnego.

- Jeżeli Quang macza w tym palce - rzekł Gaines - będziemy mieli do czynienia z podkopem.

- Racja - wykrzyknął Carter. - Wysłałem już kilka oddziałów w poszukiwaniu tunelu. Wy też powinniście do nich dołączyć.

Nad ich głowami zagrzmiało i pierwsze krople deszczu spadły na ziemię.

Gorąco panujące na strychu, zmęczenie, szok po przejściach minionych dwudziestu czterech godzin i zniechęcenie, gdy wreszcie zdała sobie sprawę, że znajduje się w pułapce bez wyjścia, złożyły się na to, że zapadła w głęboki, niespokojny sen.

Obudziła się czując, że ktoś potrząsa nią gwałtownie. Otworzyła oczy. Leżała na podłodze koło ściany pod zamkniętym oknem. Położyła dłonie na podłodze. Wydawało jej się, że samo podniesienie własnego, bezwładnego ciała do pozycji siedzącej wymaga nadludzkiego wysiłku.

Nie była pewna, ale jak przez mgłę słyszała kroki oddalające się od niej. Zmysły powoli zaczynały funkcjonować. Starła się je w jak najkrótszym czasie opanować. Udało się.

Była sama na strychu. Ktoś musiał wejść do niej na górę, obudzić i zejść z powrotem na dół, nim zdążyła przyjść do siebie.

Z dołu dochodziły ją przytłumione głosy ludzkie, lecz nie rozumiała, o czym mówią.

Spojrzała w stronę okna. Na zewnątrz robiło się coraz ciemniej. Ale coś było nie tak...

Zauważyła i przez chwilę nie wierzyła własnym oczom.

Kłódka, zamykająca okno zniknęła!

Zmarszczyła brwi. Ktoś wszedł tutaj, zdjął kłódkę, obudził ją i nim zdążyła się zorientować kto to, zszedł na dół. Ale kto? zastanawiała się. I dlaczego?

Wszystko jedno. Trzeba uciekać!

Otworzyła okno, ale zawahała się na chwilę. Może to pułapka? Ale w jakim celu? Jeżeli chcieli ją zabić, po co udawać, że uciekała? Zdecydowała, że nie ma to najmniejszego sensu.

Nie było czasu na dalsze zastanawianie się. Pojawiła się szansa i należało ją wykorzystać.

Okno było na tyle duże, że mogła się przez nie przecisnąć. Upewniwszy się, że ma pewny chwyt, pozwoliła nogom przez chwilę wisieć beczynnym. Nie wiedziała dlaczego, ale wisiała tak przez jakiś czas.

Boisz się, dziewczyno!, powiedziała sobie.

Spojrzała w dół. Wylądowała prosto w gąszczu wysokiej trawy, która podchodziła do samej ściany baraku. O kilka kroków dalej grunt opadał lekko.

Puściła się i wylądowała na mokrej od deszczu trawie i potoczyła w dół. Kiedy wstała, czuła jedynie lekki ból w okolicy biodra, na którym wylądowała.

Rozejrzała się niepewnie dookoła. Nie była jeszcze do końca przekonana, że nie jest to kolejna sztuczka kapitana Quanga.

Barak stał pogrążony we mgle. Nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek zauważył jej ucieczkę.

Odwróciła się, zaczęła biec i upadła. Podniosła się i ruszyła dalej, przez cały czas spodziewając się, że lada chwila usłyszy huk wystrzału lub rozkaz zatrzymania się. Tak czy owak miała zamiar nie stawać ani na chwilę.

Muszę dostać się do bazy, muszę ich ostrzec, myślała. Muszę ostrzec Scotta!

O parę kroków przed nią zaczynała się dżungla.

Kapitan Quang zebrał oddział Viena koło drabiny prowadzącej na strych.

- Na nas już czas - powiedział. - Vien, wyprowadź ludzi i każ im przygotować się do wymarszu. Schodzimy do tunelu.

Vien zmarszczył brwi.

- Myślałem, że atak zacznie się tuż po północy.

- Zaskoczymy ich - powiedział Quang. - Wskoczmy z tunelu z bronią w rękę i zarzucimy ich granatami.

- Ale według planu mieliśmy się wśliznąć pod osłoną ciemności i założyć ładunki wybuchowe w najczulszych miejscach bazy i użyć siły tylko w przypadku wykrycia naszej obecności.

Vien zdawał sobie sprawę, że sześciu mężczyzn i dwie kobiety, wchodzący w skład jego oddziału, przysłuchiwali się uważnie każdemu ich słowu. Każdy z nich miał ze sobą po kilkanaście zapasowych magazynków, granatów, każdy miał swoją porcję materiałów wybuchowych i zapalników. Biło od nich pełne napięcia oczekiwanie.

- Zmieniłem plan - oznajmił Quang. - Naszym celem będzie nie tylko psychiczne załamanie wroga, lecz także jego fizyczne zniszczenie. Zabijemy wielu z nich, a wtedy każdy Amerykanin zda sobie sprawę, że nigdzie nie jest bezpieczny, że wszędzie dopadną go nieustraszone oddziały Wietkongu. Czy ktoś chciał poddać w wątpliwość moje słowa?

Vien zebrał się na odwagę.

- Tylko pytałem dlaczego, panie kapitanie.

- W bazie będzie tej nocy więcej Amerykanów, toteż więcej ich zginie - Quang patrzył na żołnierzy. - Czy jest wśród was ktoś, kto nie chce umrzeć za swój kraj?

Cała grupa, jak na dany znak, pokręciła przecząco głowami.

- Znakomicie - ucieszył się Quang. - Powtarzam rozkaz, Vien. Przygotuj ludzi do wymarszu.

- A pan?

- Zajmę się naszym więźniem.

Quang wspinał się na górę po drabinie.

Vien odwrócił się do swych ludzi.

- Słyszeliście, co powiedział kapitan. Mam nadzieję, że jesteście gotowi. Jeżeli nie, możecie odejść. Nikt wam tego nie weźmie za złe.

- Walczymy za nasz kraj - powiedziała jedna z kobiet. - Nie uciekniemy jak psy.

Inni zgodnie skinęli głowami.

Vien wyszedł z nimi na zewnątrz. Przejrzał plan Quanga. Kapitan miał zamiar torturami zmusić dziewczynę do tego, by powiedziała mu, gdzie szukać Gainesa, a potem poderznąć jej gardło i dołączyć do oddziału.

Ryk Quanga, gdy odkrył, że dziewczyna uciekła, wstrząsnął barakiem w posadach.

- Vien, chodź tutaj natychmiast!

Nie miał wyboru. Podjął wielkie ryzyko. Gdy Quang zasnął, wyszedł na górę, zdjął kłódkę z okna i obudził kobietę. Potem szybko uciekł. Strażnik postawiony przy drabinie niczego nie podejrzewał.

Quang stał przy otwartym oknie.

- Wytlumacz mi to, Vien. Co tu się stało?

- Nie mam pojęcia - Vien wcześniej przygotował sobie odpowiedź.

- Jak mogła uciec? To ty jej bronieś, ty jej pomogłeś, kiedy ja spałem!

- Wyszedłem tylko raz na górę, żeby sprawdzić, co się z nią dzieje. Była nieprzytomna, więc wróciłem. To wszystko.

Twarde spojrzenie Quanga nie pozostawiało wątpliwości, że kapitan zna prawdę. Ale nie odezwał się. Pospieszenie zszedł na dół, dołączył do grupy żołnierzy i zaczął wydawać rozkazy.

- Was troje - w tę stronę. - Wskazał dłonią na ścianę drzew, mającą przed nimi. - Wy rozdzielcie się i sprawdźcie, co się da.

Ostatniej parze kazał rozejrzeć się po najbliższej okolicy.

- Spotykamy się tu wszyscy za piętnaście minut.

Gdy wszyscy zniknęli, Vien zapytał:

- A co ja mam robić, kapitanie?

- Po przesłuchaniu Amerykanki - zaczął Quang - obaj zeszedliśmy na dół, a ja pozwoliłem sobie na chwilę drzemki. Byłem zmęczony po całym dniu, ale stało się. Zasnąłem. A ty to wykorzystałaś, Vien.

- Nie wiem, o czym pan mówi, kapitanie.

Quang wyciągnął pistolet.

- Jesteś zdrajcą. Chce mi się rzygać na twój widok.

- Dlatego odesłał pan innych. Żeby mnie zabić.

- I żeby znaleźli kobietę, choć tak naprawdę, nie ma to większego znaczenia - powiedział Quang. - Zanim zorientuje się, w którą stronę ma iść, my dawno zaatakujemy bazę. Spóźni się - w oczach błysnęła zapiekła nienawiść. - Myślisz, że oszalałem, prawda?

- Tak, kapitanie. I zabiera pan moich przyjaciół na pewną śmierć, tak jakby pan sam jej szukał.

- Słusznie. Zawsze uważałem, że jesteś bardzo bystrym młodym człowiekiem. Problem polega na tym, że nie rozumiesz pewnych rzeczy, na przykład tego, że na wojnie nie ma miejsca na współczucie. I kto wie, czy nie masz racji. Możliwe, że oszalałem, ale i tak nie ma to znaczenia dla naszej rozmowy, która jest twoją ostatnią.

- Ma znaczenie dla moich przyjaciół - powiedział Vien. - Za mną poszliby wszędzie. Chcieli wziąć udział w akcji, bo pana syn był moim kolegą i prosił mnie o pomoc w opracowaniu planów ataku na bazę. Kiedy przyprowadziłem ich tutaj, byłem pewien, że pan zajmie jego miejsce.

- Twoi ludzie pójdą za mną - rzekł Quang. - Masz rację, Vien, jestem szalony. Ale widzisz, nic mi już w życiu nie pozostało, a to każdego może przyprawić o szaleństwo. Umrę za jakieś pół godziny. Właściwie czekam na śmierć. Wreszcie będę razem z żoną i dziećmi i zginę z bronią w ręku, walcząc z wrogami naszego kraju.

- Wykorzystuje pan tych, co są gotowi oddać życie za swe przekonania. Chce pan poświęcić ich życie, by zaspokoić swe pragnienie zemsty, a teraz chce mnie pan zabić, żebym ich nie zbuntował przeciwko panu.

- Zabiję cię, bo jesteś zdrajcą! - warknął Quang.

Vien zdawał sobie sprawę, że Quang ma zamiar nacisnąć spust i rzucił się na niego. Obaj upadli na ziemię. Pistolet wypadł kapitanowi z ręki i gdzieś się zawieruszył, lecz był znacznie starszy i bardziej doświadczony niż Vien. Kopnął go w brzuch, co sprawiło, że uścisk Viena osłabł. Przywalił go swym ciężarem i wyjął nóż.

Z wściekłością wbił go w klatkę piersiową Viena, którego ciało wygięło się w łuk. Krew trysnęła z rany, gdy wyciągnął ostrze. Uderzył jeszcze raz. Ciało Viena opadło na

ziemię, wstrząsnął nim dreszcz i wydawało się, że skołał.

Quang wytarł nóż o koszulę Viena i wstał. W pobliżu nie było nikogo, nikt nie widział, co się stało.

Schował nóż do pochwy, chwycił ciało Viena za nogi i zawlókł je do baraku, za najbliższe przepierzenie. Stał w rozkroku nad ciałem i powiedział do siebie:

- Nic mnie nie powstrzyma przed dokonaniem zemsty. Znajdę Gainesa. Mój syn zostanie pomszczony, a ja dołączę do swojej rodziny - skończywszy litanie, splunął na ciało i wyszedł.

W miejscu, gdzie upadł Vien, pozostała kałuża krwi, a jej ślady wiodły do środka baraku. Quang szybko odszedł na bok. Drużyna Viena zbliżała się powoli ku barakowi. Padający deszcz zdążył ich już przemoczyć do suchej nitki.

Quang wyszedł im naprzeciw.

- Wysłałem Viena po posiłki.

- Kiedy uderzymy, kapitanie? - zapytała młoda kobieta.

- Musimy zacząć już teraz - Quang mówił powoli i rozważnie. - Vien i pozostali zdążą wykonać swoją część zadania.

- Jesteśmy gotowi, kapitanie. Możemy zaczynać.

- Więc chodźmy - powiedział cicho Quang. - Już czas.

Ann nie mogła biec. Zarośla były zbyt gęste, a ziemia zbyt śliska. Wydawało jej się, że pływa, próbując utrzymać równowagę w zapadającym zmroku. Od tego, czy dotrze do bazy w Lai Khe na czas, zależało życie wielu amerykańskich żołnierzy.

Nie miała jednak pojęcia, gdzie się znajduje. Straciła wszelką orientację, gdy po masakrze w Hoa Phu ogłuszyli ją bandyci. Próbowała się uspokoić, lecz nie przyszło jej to łatwo. Dobrze, że przespała się trochę w baraku, czuła się teraz znacznie silniejsza.

Zatrzymała się. Nagle zorientowała się w grozie swego położenia. Sama, w środku dżungli... Za chwilę zrobi się całkiem ciemno.

Plantacja kuczuku, pomyślała. Przecież gdzieś w pobliżu musi być droga. Muszę wrócić do baraku, idę w złym kierunku...

Miała się właśnie odwrócić, gdy wpadł na nią jakiś cień i pozbawił ją tchu. Silne męskie ręce nie pozwoliły jej upaść, a w uszach zabrzmiał głos Scotta Gainesa:

- Spokojnie, Ann, spokojnie. Jesteś u swoich.

19

- Scott! dzięki Bogu!

Przytuliła się do niego tak ciasno, jakby był dla niej kimś cenniejszym od życia.

Dołączyły do nich inne sylwetki. Hidalgo i DeLuca. podobnie jak Gaines, mieli na sobie peleryny chroniące od deszczu. W jednej chwili znaleźli się koło nich.

- O Boże! - powtórzyła. - Modliłam się, żebyś zdążył. Byłam u nich w niewoli, kapitan Quang... On żyje.

- Wiemy, że żyje, Ann. Wszystko wiemy. Szukaliśmy cię. Potrafiłabyś nas zaprowadzić do niego?

Puściła go i cofnęła się.

- Tak. To niedaleko.

Thu zjawił się nagle nie wiadomo skąd.

- Jesteśmy bardzo blisko plantacji. Tędy - pokazał drogę.

- Tak, tędy - potwierdziła Ann. - Jakiś magazyn, czy co.

- Byłem pewien, że dawno opuszczony - przyznał DeLuca. - Tyle czasu szukaliśmy w tej okolicy jakiegoś tunelu do wysadzenia.

- Nie widziałam, żeby coś kopali - powiedziała Ann. - Mam wrażenie, że był to dla nich tylko punkt zborny. Są bardzo dobrze uzbrojeni.

- Zatrzymamy ich - uspokoił ją Hidalgo. - W bazie mamy pogotowie bojowe, wzmocnione patrole, a Szczur; wszelkiej maści wężą po okolicy. Nie uda im się.

- Jeżeli będziemy mieli szczęście - zauważył Gaines Zabierz nas tam, Ann. Musimy go zamknąć na zawsze.

Wkrótce potem przykucnęli ukryci za drzewami. Barak spoza mgły sprawiał wrażenie całkowicie opuszczonego.

- Nie podoba mi się to - zaczął DeLuca.

- Powinni byli zostawić kogoś do pilnowania rzeczy, chyba, że nie zamierzają wracać - rzekł Hidalgo.

- Jeżeli tak jest rzeczywiście, nie mamy czasu do stracenia - powiedział Gaines.

- Co robimy, poruczniku?

- Ubezpieczajcie mnie - rzucił Gaines. - Sprawdzę, co się dzieje.

Puścił się truchtem w stronę baraku i przypadł do ściany. Potem z gotowym do strzału karabinem wskoczył do środka uchylając się przed oczekiwanym gradem kul.

Ale nikt doń nie strzelał. Gaines wstał i kolistymi ruchami wodził lufą karabinu po wnętrzu magazynu, szukając celu.

W środku było prawie całkiem ciemno, lecz Gaines zauważył po lewej stronie strome wyjście na strych, a po prawej ściankę, za którą kiedyś chyba było biuro. Stamtąd dochodził go bardzo słaby jęk. Jęk człowieka, który umiera i nie ma ludzkiej siły, która mogłaby go uratować.

Gaines nasłuchiwał jeszcze przez kilka chwil, potem zajrzał do biura, gotów w każdej chwili otworzyć ogień.

Gdy zobaczył leżącego na podłodze mężczyznę w mundurze Wietkongu, wrócił do drzwi i zawołał pozostałych, potem wrócił i ukląkł przy konającym.

Miał dwie głębokie rany kłute, a wielka kałuża krzepnącej krwi wskazywała, iż niewiele mu jeszcze pozostało.

- Quang - Gaines powiedział do niego.

Gaines nie mógł opanować zaskoczenia, gdy mężczyzna, zbierając w sobie resztki sił pokazał palcem na drzwi po drugiej stronie magazynu.

Do środka weszli Ann i Thu. DeLuca z Hidalgo zostali na straży.

Gaines nachylił się nisko nad drżącymi ustami mężczyzny.

- Lai Khe... atak... tunel... północna część... kapitan Quang... - wyszeptał i to były jego ostatnie słowa.

- Właśnie on mnie uwolnił - szepnęła Ann i odwróciła głowę. Nie rozumiem... Dlaczego?

- Niektórzy ludzie są całkiem dobrzy, inni zupełnie źli, ale tych jest niewiele - powiedział Gaines. - Nie ma teraz czasu. Jesteśmy niedaleko bazy, a ten chłopak podał nam w przybliżeniu miejsce podkopu. Jak się pospieszymy, możemy ich jeszcze zaskoczyć.

Thu chwycił radiostację.

- Połączę się z bazą.

- Powiedz im, żeby przeszukali jej północną część. Niech żołnierze otoczą podejrzone miejsca, ale niech się zanadto nie zbliżają. Dobrze by było, jakby wystrzelili flary.

- A ty? - zapytała Ann.

Gaines skierował się do drzwi, za którymi stał Hidalgo - Jesteśmy najbliżej wejścia do tunelu - rzucił przez ramię. - Mamy szansę go tam jeszcze zastać. Poza tym czas najwyższy, żebyśmy to załatwili między sobą.

- Pójdę z tobą - zaproponował Thu.

Gaines zatrzymał się.

- Nie. Ann przeżyła dziś więcej, niż kto inny przez całe życie. Załatw dla niej jakiś transport do bazy i zaczekaj z nią, dopóki nie przybędą.

- Sierzancie... - Thu zaczął rozmowę z bazą.

Ann podbiegła nagle do Gainesa, zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła z całej siły.

- Powodzenia, żołnierzu.

- Trzymaj się, Annie. Już niedaleko do końca - uścisnął ją i zniknął w strugach deszczu i gęstniejącej ciemności.

Ann podeszła do drzwi i widziała, jak rozmawia przez chwilę z Hidalgo i DeLuca, po czym wszyscy ruszają przed siebie.

Annie... Nigdy jej tak nie nazwał. Podobało jej się to imię w ustach Scotta.

- Uważaj, Scott - powiedziała w ciemność, w stronę, gdzie zniknęli.

Thu skończył rozmawiać i podszedł do niej. On też patrzył w mrok.

- Bardzo chciałbym iść z nimi - powiedział cicho.

- Rozumiem cię.

Nim Quang i ośmioro członków jego drużyny dotarli do wejścia do tunelu, wokół zaległa ciemność. Mżawka zamieniła się w solidny deszcz.

Syn Quanga zatroszczył się o to, by żołnierze, którzy mieli brać udział w akcji zapoznali się dobrze z ukształtowaniem okolicznego terenu i nie mieli kłopotów z odnalezieniem wejścia do tunelu. Tsing poinformował też każdego o jego miejscu i roli w ataku. Poza przyspieszeniem akcji, Quang nie wprowadził do planu żadnych istotnych zmian.

- Wartownicy - rozkazał Quang. - Zająć pozycje.

Trudno było powiedzieć, że w pobliżu znajduje się potężna baza wojskowa. Pofałdowany teren zasłaniał wszystko, włącznie z martwą strefą, którą Amerykanie wycięli z dżungli. Szelest padających gęsto kropli, zagłuszał wszelkie odgłosy z bazy.

Quang dał wartownikom około pół minuty na zajęcie pozycji: trzech ukrytych punktów, skąd mogli ostrzelać każdego, kto chciałby się zbliżyć do wejścia do tunelu w czasie akcji.

Niebo rozjaśniła na moment błyskawica. W jej świetle Quang nie mógł dostrzec wartowników.

- Dobra robota, synu - wyszeptał.

Potem głośniejszym głosem dodał do czekającej piątki.

- Chodźcie za mną.

Potykając się i ześlizgując z pagórka, doszli do wejścia. Zgodnie z planem dwóch odkopywało wejście, a ubezpieczała ich pozostała trójka.

Nagle rozległ się trzask i świst. Na niebie rozbłysła srebrzystobiała flara rzucając pełne światło na Quanga i żołnierzy, mających wejść do tunelu.

Gaines, DeLuca i Hidalgo wspinali się właśnie na pagórek, gdy flara zgasła. Ciemna plama poniżej mogła być wejściem do tunelu, lecz nie mogli być pewni.

Od strony bazy rozległ się znajomy trzask. Druga flara powędrowała w niebo, oświetlając okolicę swym migotliwym blaskiem.

- Jest - powiedział DeLuca.

Gaines z Hidalgo zauważyli coś więcej - ludzkie sylwetki, które mierzyły do nich z karabinów.

- Ognia! - krzyknął Gaines. - Jest ich trzech!

Padli na ziemię, celując w stronę wartowników. Hidalgo zaklął po hiszpańsku.

Wtedy rozpętało się piekło. Amerykanie wybrali sobie cele bez uzgodnienia, lecz efekt był piorunujący.

Gaines ściał serią najbliższego z lewej. Wietnamczyk rozłożył ręce i padł w milczeniu na ziemię.

Broń Hidalgo zacięła się, więc obdarzywszy ją wiązką epitetów, wyjął nóż i podczołgał się jak wąż ku środkowemu wartownikowi. Ten był tak pochłonięty strzelaniem, że nie zauważył napastnika, póki nie było za późno. Hidalgo wytrącił mu broń i powalił na ziemię uderzając ostrzem w najczulsze miejsca.

Po chwili wstał. Deszcz szeleścił kroplami po pelerynie, obmywał ręce i nóż ze świeżej krwi. Odwrócił ciało na plecy.

Dziewczyna. Nastolatka. Patrzyła nań szklistym, oskarżycielskim wzrokiem. Martwym wzrokiem.

Przestań, powiedział do siebie Hidalgo. Do roboty.

Dołączył do DeLuki i Gainesa, naradzających się przed wejściem do tunelu.

- Są już w drodze - mówił Gaines. - Lada chwila znajdą się w bazie.

- Miejmy nadzieję, że chłopaki po drugiej stronie zrobią, co do nich należy - powiedział Hidalgo.

- A my, po naszej stronie dokończymy tego, cośmy zaczęli - wyszczerzył zęby DeLuca. - Tunel jest jeszcze ciepły, taki, jakie lubimy najbardziej.

- Zapraszam was do rock and rolla - powiedział Gaines.

DeLuca tylko na to czekał. Pierwszy dał nura w błotnistą dziurę i zniknął im z oczu.

Strzelanina dochodząca spoza północnej części bazy zwróciła uwagę wszystkich żołnierzy przypisanych do tego rejonu po tym, jak Thu zameldował do bazy, że właśnie tam znajduje się wyjście z tunelu.

Carter zostawił w swym bunkrze młodszego oficera, a sam wybiegł z karabinem na zewnątrz. Nie mógł siedzieć beczynn timer, gdy inni nadstawiali karku.

Cholerny Wietkong, pomyślał. Zabezpieczasz rejon, wydaje ci się, że wszystko w porządku, a pieprzony Wietkong jakby nigdy nic robi podkop.

Wcześniej zażądał zatrzymania majora Dow. Policja wojskowa Armii Republiki Wietnamu tym razem nie ociągała się, ale jeżeli Dow rzeczywiście maczał w tym palce, dawno powinno go nie być w bazie, bo teraz wszystkie podejrzenia padłyby na niego.

Carter odwrócił się i zobaczył dwie ubrane na czarno sylwetki - wybiegające z jednego z bunkrów w części bazy zajmowanej przez Wietnamczyków. Bunkier majora Dow!

Oczywiście, pomyślał Carter. Ostateczne potwierdzenie tego, w co nie chciał wierzyć. Major Dow winny był zdrady.

Wietnamczycy ostrzelali swe przedpole i mieli zamiar ruszyć do przodu, gdy seria z karabinu Cartera podcięła im nogi i zwalili się bezwładnie w błoto.

Znajdujący się w pobliżu żołnierze natychmiast dostrzegli, skąd rozpoczął się atak i gdy ich oczom ukazał się kolejny napastnik, nie dali mu nawet czasu otworzyć ognia zasypując go gradem kul. Skoncentrowane serie M-16 sprawiły, że częściowo zawałiło się wejście do tunelu. Carter i wszyscy inni zeszli ze swych pozycji biegnąc w stronę wejścia do tunelu.

Atak w tym kierunku został powstrzymany, powiedział do siebie Carter. Kapitan Quang stracił ochotę do dalszej walki i będzie się wycofywał w stronę wyjścia, poza bazą.

Prosto w ramiona Szczurów.

Tunel był szerszy niż zazwyczaj, by oddział bez kłopotu mógł zabrać ze sobą długą broń. Niepomierne ułatwiało to zadanie Szczurom. Amerykanie zostawili jednak karabiny przy wejściu. Mieli zamiar rozegrać ostateczną bitwę w tunelu, w przeciwieństwie do żołnierzy Wietkongu. Doświadczenie nauczyło ich, że szybkość przemieszczania się po

podziemnych korytarzach była najważniejsza.

Każdy z nich miał ze sobą pistolet i latarkę. Przykucnięci, szli naprzód tak szybko, jak było to możliwe, badając każdy fragment korytarza, czy nie kryje się gdzieś pułapka. Hidalgo żałował, że nie da się szybciej. Co parę kroków ocierał czoło i oczy z potu pomieszanego z ziemią. Widok twarzy kobiety, którą zabił, nie opuszczał go ani na chwilę.

Po jakichś stu metrach tunel zakręcał w lewo.

- Oto i oni - szepnął DeLuca.

Zza zakrętu dobiegło ich sapanie i po chwili ukazały się im dwie ubrane na czarno sylwetki. Obie wycelowały prosto w Amerykanów. Ci nie mieli wyboru, musieli najpierw upewnić się, czy nie są to ich koledzy z bazy, którzy w ferworze walki zapuścili się aż tak daleko. Nim jednak zakończyli identyfikację, kule zaczęły im świstać koło uszu.

Hidalgo i DeLuca odrzuciwszy na bok latarki przypadli do ziemi strzelając ze swych pistoletów. Grzmot karabinów urwał się i dwa martwe ciała zwały się z nóg.

Kaszłąc od ostrego dymu, Hidalgo pomacał w ciemności za latarką. Trzymając ją z dala od swego ciała, poświecił przed siebie. Dym otaczający dwóch zabitych żołnierzy był prawie tak gęsty jak mgła, lecz Hidalgo zdążył dojrzeć przestraszoną twarz trzeciego, która natychmiast schowała się za załomem korytarza.

Hidalgo uśmiechnął się.

- W porządku.

DeLuca wyjął z pochwy nóż, schował pistolet i ruszył w kierunku ostatniego z żołnierzy. W chwilę później rozległ się piskliwy, urywany krzyk.

Sierzant wrócił chowając nóż na miejsce.

- Za bardzo ci się to wszystko podoba, Frank - powiedział Hidalgo.

- Pierdolisz - odparł filozoficznie DeLuca. - Chodźmy zobaczyć, co słyhać u porucznika.

- Pewnie coś ważnego, inaczej nigdy by nie przepuścił takiej okazji jak ta - zauważył Hidalgo.

Obaj odwrócili się i zaczęli wycofywać drogą, którą przyszli.

- Widzę majora Dow! - zawołał Gaines do tunelu w ślad za DeLuca i Hidalgo kilka minut wcześniej. - Idę za nim!

Nie był pewien, czy go usłyszeli, bo w tej samej chwili zagrzmiało. Flara powoli wypalała się, lecz jej niepewne światło wystarczyło Gainesowi, by zidentyfikować majora Van Dow.

Biegnący cień pośliznął się i upadł z wyciągniętymi przed siebie rękami, po czym

natychmiast wstał i pobiegł dalej, obejrzwawszy się za siebie. Dzięki temu Gaines mógł go rozpoznać. Nie tracąc czasu Amerykanin zarzucił karabin na ramię i rzucił się na majora. Zwalił go z nóg atakiem na kolana, jak w rugby, nim Wietnamczyk zdążył ukryć się w dżungli.

Wyciągnął pistolet i odwrócił majora na plecy.

- A teraz, majorze, wraca pan sam do bazy, czy mam pana jakoś przekonać? Nie zgadza się pan? Proszę bardzo. Nawet się z tego cieszę.

- O... co chodzi? - wystękał Dow drżącym głosem. - Nie wiedziałem, że to pan, poruczniku - próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego bardzo dziwny grymas. - Właśnie wracam do bazy. Nie wiem, co się mogło stać i chciałem się dowiedzieć. Czy baza jest atakowana?

- Może pan sobie darować. Był pan szpiegiem nasłanym przez Quanga i współpracował pan z Xongiem, który był waszym łącznikiem. Bez pańskiej wiedzy nie miałby tyle swobody.

- Ale to właśnie ja pierwszy zameldowałem, że kapitan Quang żyje! - zaprotestował Dow. - Ja zastrzeliłem Xonga. Nie jestem szpiegiem!

- Dowiedzieliśmy się o tym tylko dlatego, że prędzej czy później ktoś by nam powiedział, poza tym chciał się pan zabezpieczyć. A Xonga zastrzelił pan, żeby się nie dostał w nasze ręce. Wiedział pan, że od razu wskaże na swego zwierzchnika. Równie dobrze mógł go pan przecież zranić. Mówiłem wyraźnie, że chcemy go żywego. A teraz - Gaines czuł, jak wzbiera w nim gniew - zabieram cię, śmierdzielu, do bazy. Tam nam wyśpiewasz wszystko, co wiesz. Kapitan Quang ma chyba jeszcze innych szpiegów w bazie.

- Nic wam nie powiem.

- Powiesz. Jeszcze się nie znasz. Pomożesz nam też znaleźć Quanga. A teraz ruszaj, póki jeszcze możesz.

Dow dziwnie nań spojrział. W świetle nowej flary Gaines zorientował się, że major coś zauważył.

Chłodna lufa dotknęła karku Gainesa.

- Tu jestem, poruczniku - odezwał się Ngai Quang. - Rzuć broń i stań obok majora.

Gaines posłuchał.

Dow ze zdziwieniem zauważył, że Quang mierzy do ich obydwu.

- Cieszę się, że pana widzę, kapitanie Quang. Myślałem, że jest pan w tunelu.

- Byłbym, gdyby Amerykanie nie wystrzelili flary - odparł Quang po angielsku. - W ostatniej chwili zdałem sobie sprawę, że to nie ma sensu. Plan mojego syna nie powiódł się,

całe tygodnie pracy poszły na marne. Amerykanie wszystko wiedzieli o ataku. Zaraz po wyjściu z tunelu zabiliby nas - wbił ciężki wzrok w Gainesa. - Nie mógłbym dołączyć do swych przodków, gdybym najpierw nie policzył się z tobą. Wiedziałem, że ty stoisz za tym wszystkim, że ty odpowiadasz za fiasko tej akcji. Teraz nadszedł czas ostatecznych rozrachunków. Umrzesz, Gaines i mój syn będzie pomszczony.

- Kapitanie Quang, a co ze mną? - spytał Dow.

- Z tobą? - zapytał z ironią Quang. - Ty też z nim pójdiesz.

Postaraj się to jakoś przedłużyć, mówił sobie Gaines, graj na czas. Może DeLuca i Hidalgo zdecydują się wrócić i sprawdzić, co się z nim dzieje. Wlepił wzrok w karabin Quanga, lecz odezwał się do Dowa.

- Zastrzeli cię z tego samego powodu, co ty zabiłeś Xonga. Jakież to romantyczne, prawda?

Dow spoglądał na Quanga z rosnącym przerażeniem. Zrobił krok do przodu, podnosząc ręce do góry w błagalnym geście.

- Nie, kapitanie Quang! Byłem lojalny...

Kula z karabinu Quanga rozpruła mu brzuch.

Gaines był świadom ciszy, jaka zaległa dookoła po deszczu. Słychać było tylko cichy plusk wody, spływającej po niezliczonych liściach.

- Nadszedł czas zapłaty, jak mówicie wy, Amerykanie - powiedział kapitan złowróżbnym głosem.

Gaines po raz ostatni rzucił okiem na wejście do tunelu w gasnącym świetle flary. Nikogo.

Rzucił się dziko na bok, by przynajmniej spróbować walczyć o życie.

Seria z karabinu przysłała wcześniej, niż oczekiwał. Poczul, jak opuszcza go napięcie, lecz wylądował na ziemi cały i zdrowy, co trochę go zdziwiło. Przewrócił się na bok gotów do skoku sądząc, że Quang po niecelnym strzale będzie się starał wymierzyć dokładniej.

Wtedy ujrzał, jak Quang wali się na twarz. Tył jego głowy wyglądał w świetle flary jak masa błyszczącej, czarnej galarety. Padł u samego wejścia do tunelu, skąd wynurzyli się DeLuca i Hidalgo, trzymając w dłoniach pistolety. Wyprostowali się, rozejrzeli dookoła i podeszli do Gainesa.

Gaines nie rozumiał. Strzał musiał pochodzić z karabinu.

Wtedy z ukrycia wyszedł Bok Van Thu z M-16 gotowym do następnego strzału. Przy nim kroczyła Ann z pistoletem Thu.

Gaines uśmiechnął się. Nie mógł wyjść z podziwu nad odwagą Ann, lecz przede

wszystkim cieszył się, że żyje.

- Myślałem, że wy dwoje zostanieie na plantacji i zaczekacie na posiłki.

- Wydawało nam się, że posiłki mogą nie nadejść - wyjaśniła Ann. - Jak to ujął kapitan Quang, nadszedł czas zapłaty.

- Próbowałem ją zatrzymać - zaczął Thu - ale nie potrafię sprawić, by kobieta usłuchała rozkazu.

- Nie przejmuj się - pocieszył go Gaines. - Żaden mężczyzna nie potrafi. Dziękuję wam.

W okolicy zaroilo się od żołnierzy. W górze pojawiło się kilka helikopterów, oświetlając reflektorami skraj dżungli i wypełniając ciche powietrze nocy pulsującym brzmieniem swych silników. Oddziały otoczyły rejon i rozpoczęły prace zabezpieczające.

Nikt nie zatrzymywał Szczurów ani Ann Bradley, gdy ruszyli spokojnym krokiem do bazy.

Grzmot przetoczył się z hukiem za horyzontem. Znów zaczęło padać.